ROCZNIK XI. Maj 1907. Nr. 5.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

* Turyn – Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ: Str.

PIERWSZY AUSTRJACKI KONGRES

dla spraw ochrony i opieki nad opuszczonemi dziećmi.

Nie mogło ujść uwagi społeczeństwa to, co właściwie stanowi główną przyczynę i samą treść naszych złych czasów i niepokojących objawów, a mianowicie nie mógł się ukryć przed naszemi oczami ten przestraszający rozkład socjalny, który się wszędzie wokoło nas dokonywa i tyle nam daje do myślenia. Główną jego ofiarą jest młodzież. Jego przebieg i objawy: zwyrodnienie fizyczne, zanik zdrowych pojęć i zasad, utrata wiary, zepsucie i zdziczenie obyczajów, przestępstwa, zbrodnie i najsmutniejsza statystyka sądowa. Przyczyną zaś brak opieki, brak wychowania, brak pomocy dla istot, które od samej kolebki walczyć muszą z nędzą, zdane są na łaskę i niełaskę ludzi obcych i trudnych stosunków; wskutek zupełnego opuszczenia skazane niejako siłą rzeczy na poniewierkę i zmarnienie; dalej przyczyną brak urządzeń, brak zakładów, brak udziału ze strony społeczeństwa, gmin, krajów, rządu; przyczyną wreszcie ogromne braki w ustawodawstwie i administracji rządowej i krajowej.

Wszędzie spotykamy się z pragnieniem, aby na tem polu jak najrychlej nastąpiła gruntowna reforma, aby dzi-

siejszy przestrach i odrętwienie, tak naturalne w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa, jak najprędzej zastąpione zostały energicznem działaniem podjętem według jednolitego i praktycznego programu przez wszystkie czynniki do tego powołane.

To też gdy za inicjatywą sfer rządowych zawiązał się w Wiedniu komitet celem zwołania *pierwszego austrjackiego kongresu dla spraw ochrony i opieki nad opuszczonemi dziećmi*, po wszystkich krajach koronnych powstał wielki ruch w kołach, które się nad tą sprawą poważnie zastanawiają. Zewsząd zgłaszano się po karty uczestnictwa, aby tam przy wspólnej wymianie myśli zaznaczyć żywe zainteresowanie się tą sprawą społeczną, wypowiedzieć swoje zapatrywania i niejednego od innych się nauczyć.

I zebrał się ten pierwszy w Austrji kongres poświęcony dziecku, kongres wspaniały liczbą uczestników, świetny blaskiem wielu wybitnych osobistości, doniosły ważnością swych obrad; kongres nieobliczonego wprost znaczenia w bieżącej chwili przełomowej dla ratunku młodych pokoleń, w chwili, w której tak skwapliwie a dotąd tak daremnie szukamy wyjścia z karkołomnego położenia.

W zamęcie najsprzeczniejszych haseł humanitarnych i zagranicznych nowinek altruistycznych, które często są zaprzeczeniem lub śmieszną karykaturą płodnej od wieków miłości chrześcijańskiej, kongres niemało przyczynił się do rozświetlenia sprawy pod wielu względami, do pewnego utrwalenia poglądów, do widocznego zbliżenia w niektórych punktach, do ścisłego określenia wzajemnego stosunku tam, gdzie do zupełnego porozumienia nigdy nie przyjdzie.

Pobłażliwość, z jaką kongres traktował osobę dziecka, oraz bezwzględność, z jaką najostrzejszej krytyce poddał dzisiejsze stosunki, stworzyły niezmiernie liczne i w każdym kierunku pożądane projekty reformy, których sfery kompetentne nie powinny lekceważyć przy uregulowaniu piekącej sprawy opieki nad dzieckiem.

Prace przygotowawcze.

Aby kongresowi pracę ułatwić, wysłał komitet centralny do wszystkich uczestników obfity materyał zebrany w dwóch grubych tomach. Pierwszy zawierał obszerne referaty, w których pierwszorzędne powagi na polu nauki, pedagogji i prawa omawiały naprawdę głęboko i wyczerpująco następujące kwestye:

W sekcyi pierwszej: *Ochrona i opieka nad opuszczonemi dziećmi:*

1) Jakimi środkami można zapewnić opiekę dzieciom pozostającym z jakiegobądź powodu u obcych ludzi i jakie prawa do nich można takim wychowawcom przyznać?

2) Czy zaleca się pewnym stowarzyszeniom, zakładom, korporacyom, które jakieś dziecko wychowują, przyznać prawa i obowiązki opiekuńcze, ewentualnie pod jakiemi zastrzeżeniami i warunkami?

3) Czy wypada utworzyć w gminach organa autonomiczne, któreby wspierały sąd we wykonywaniu funkcyi opiekuńczych?

4) Czy zaleca się wprowadzenie szczególniejszych przepisów karnych ku ochronie zdrowia, jako też cielesnego i moralnego bezpieczeństwa dzieci?

5) Które szczególniejsze wymagania hygieniczne podnieść trzeba w kwestyi opieki nad młodzieżą i jakie przepisy należy tu przedewszystkiem zastosować?

6) Przyczyny poniewierania dzieci i środki zaradcze.

7) Spostrzeżenia lekarzy sądowych we wypadkach poniewierania dzieci.

W sekcyi drugiej: *Organizacja wychowania dzieci pozbawionych wogóle jakiejkolwiek lub należytej opieki:*

1) Jak można zorganizować takie wychowanie w Austryi?

W sekcyi trzeciej: *Prawo karne dla nieletnich:*

1) Zarysy przyszłego ustawodawstwa karnego dla nieletnich przestępców.

Bardzo ciekawe były prace, które złożyły się na tom drugi. Wyszły z pod pióra najlepszych znawców przestępstw u małoletnich wszystkich krajów koronnych. Opierając się na ścisłej statystyce sądowej, wnikały w przyczyny i warunki zepsucia i zwyrodnienia młodzieży w poszczególnych krajach.

Wogóle trzeba przyznać, że materyał zawarty w tych dwóch tomach, był niezmiernie obfity, cenny i sumiennie obrobiony. Szkoda wielka, że uczestnicy z Galicji otrzymali go dopiero w trzy dni przed wyjazdem, tak że z niemałą krzywdą dla sprawy naszej z góry wyrzec się musieli jakiegokolwiek głębszego studjum i żywszego udziału w dyskusji.

Udział.

Do uczestnictwa zgłosiło się 1900 osób; z tych do stu z samej Galicji. Urzędownie reprezentowane były niektóre ministerstwa, wszystkie kraje, wyższe sądy itd. Grono prywatnych członków, najliczniejsze, rekrutowało się bez względu na różnice przekonań religijnych, politycznych, socjalnych, ze wszystkich zawodów, które są w styczności z młodzieżą. Pomimo tego neutralnego charakteru kongresu, imponującą była liczba reprezentantów kleru i mężów zasłużonych na polu akcyi katolickiej, czego gazety socjalistyczne przeboleć nie mogły, zapominając o tem, że wszelka opieka nad dziećmi od wieków tylko w cieniu krzyża ze skutkiem podejmowana była, i że zwołanie kongresu przyszło do skutku za energicznem współdziałaniem wielu katolickich działaczy.

Przebieg.

Otwarcie kongresu nastąpiło 18. marca o godz. 10tej we wielkiej sali Towarzystwa Muzycznego we Wiedniu. Po wyborze prezydjum, do którego z duchowieństwa wszedł ks. biskup Marschall a z przedstawicieli Galicji p. Władysław Muller, nastąpiły mowy powitalne a wreszcie wezwanie do energicznej pracy w sekcjach.

O godzinie 2giej po południu zapełniły się sale uniwersytetu przeznaczone na posiedzenia sekcji. Tu właśnieześrodkowała się żywotna i praktyczna akcja kongresu. Po wysłuchaniu referatów otwarto dyskusję, która mianowicie w pierwszej sekcji była nie tylko wszechstronna, urozmaicona obfitością poglądów i odrębnością wymowy, ale interesująca, ożywiona, niekiedy nawet namiętna i hałaśliwa. Tu dopiero człowiek oryentował się w położeniu, poznawał dążenia nurtujące w różnych kołach społeczeństwa, umiał ocenić swoje stanowisko, uznać jego racjonalność lub braki.

Wogóle można twierdzić, że lubo obrady miały raczej charakter informacyjny, to przecież podniesiono wniosków i uchwalono rezolucji bardzo wiele, mianowicie pod adresem rządu, od którego w pierwszym rzędzie zawisła sanacja dzisiejszych stosunków.

Stanowisko kongresu wobec młodzieży biednej i opuszczonej było najprzychylniejsze, wyrozumienie dla jej błędów jak najdalej idące. Mieliśmy wrażenie, że jesteśmy na rozprawie sądowej, w której każdy mowca ubierał się w togę adwokata silącego się na wszelkie możliwe dowody, —na utrwalenie twierdzenia, że ten oskarżony, to dziecko brudne, biedne, zepsute i zbrodnicze — to niewinna ofiara dzisiejszych stosunków. Nie dziecko trzeba kryminałem karać, ale stosunki do odpowiedzialności pociągnąć i zmiany w nich przeprowadzić (1). Takie jest zadanie ciał prawodawczych, rządu, krajów, gmin, społeczeństwa, towarzystw, zakładów i t. p. W sprawozdaniu z kongresu znajdą sfery kompetentne gotowe wzory do wszelkich reform na tem polu.

Praca w sekcjach trwała cały dzień od 19ego aż do południa 20. marca, którego to dnia uroczyście zamknięto kongres na kilkugodzinnem walnem zgromadzeniu pożegnalnem.

Za kulisami — Napaści na katolików.

Do zupełnie innych celów chciano nadużyć kongresu ze strony wolnomyślnej i wolnomularskiej. Pewna osobistość (Niemka z Rosji) już dawniej znana w Wiedniu ze swej nienawiści do Kościoła katolickiego, projektowała jeszcze przed laty złączenie wszelkich austrjackich instytucji wychowawczych w jeden *Związek im Pestalozziego*, w duchu nie tylko wolnomyślnym, ale nawet antyreligijnym. Co jej się dotychczas nie udawało, tego spodziewała się doko-

---

(1) Prawie jednomyślnie oświadczali się mowcy za wprowadzeniem do wychowania systemu *uprzedzającego*, który od kilkudziesięciu lat jest w używaniu w zakładach salezjańskich.

nać przez kongres. Scentralizowanie wszystkich towarzystw i zakładów w monarchii pod jej berłem, miało być największym rezultatem i pomnikiem zjazdu.

Czujność katolików chciano zmylić w ten sposób, że *w pierwszy dzień kongresu* wręczono uczestnikom dwie broszury agitacyjne. Pierwsza (str. 31) miała na celu oczarować czytelników ideą podjętą przez wiedeńskie Towarzystwo im. Pestalozziego: wywrócić dzisiejsze wychowanie zakładowe i rodzinne przez rozpowszechnienie t. zw. *systemu gromadzenia dzieci po rodzinach obcych.* Treścią tego systemu jest osławiona koedukacja (wspólne wychowanie chłopców i dziewcząt) w liczniejszych gromadach u obcych ludzi (1).

Druga broszura (str. 125), na temat poniewierania dziecka, dowodziła, że katolicyzm wniósł do wychowania rózgę i okrucieństwo i dlatego na chrześcijańskich zasadach dzisiejsza pedagogia opierać się nie może. Co od dawnych czasów pisały antykatolickie gazety o rzekomych nadużyciach wychowawców zakonnych, dawno obalone skargi na zacofanie chrześcijaństwa, odparte po sto razy i zapomniane zarzuty przeciw nietolerancji i represyjnym gwałtom po szkołach i zakładach katolickich, wszystko tam bez krytyki i pytania o źródło powtórzono w najciemniejszych barwach i uzupełniono postępowymi wnioskami, skierowanymi przeciw jedności rodziny, władzy rodziców, ćwiczeniom religijnym w szkołach i t. d.

Chciano w ten sposób katolików zaskoczyć, ośmieszyć, upokorzyć — ale się sztuka nie udała, bo w przeciągu kilku godzin katolicy owładnęli cały materyał, a w sekcyi dali autorce (przewodniczącej pracom i dyskusji) tak dotkliwą i upokarzającą odprawę, że rozpatrzenie jej referatu zostało odłożone do drugiego kongresu, na walnem plenarnem posiedzeniu zaś nie dopuszczono do sprawozdania z debaty nad tymi punktami. — I to nauczka!

Do Rozwagi. — Szczęśliwie minął I. Austrjacki kongres dla ochrony dziecka. Nim wszystkie szczegóły jego prac dojdą do rąk naszych, możemy już naprzód twierdzić, że skutki jego będą zależeć od kroków rządu, ale i od udziału społeczeństwa, bo opieka nad dziećmi nigdy nie przestanie być w wielkiej części sprawą miłości bliźniego.

Kongres wykazał, że największy już czas, aby się katolicy z energią rzucili na to pole pracy... wszędzie, także i u nas! Byliśmy świadkami, że na poparcie absurdów wolnomyślnej agitatorki podniósł się tylko jeden głos—głos Polki! Gdy na ostatniem walnem zebraniu nie dopuszczono do głosu autorki oszczerczych wycieczek przeciw katolikom, słyszałem za sobą głosy niezadowolenia, głosy polskie! Ej!! czas nam się przebudzić i stanąć na straży wiary, bo i u nas już nie wszystko tak dobre i pewne, jak niektóry myśli. To, co wiedeńskie gazety socyalistyczne uważały za złą wróżbę dla opieki dziecka, mianowicie obecność tylu kapłanów (niestety z polskiego kleru był obecny tylko 1 ksiądz Salezjanin), to właśnie dowód najlepszy, że z nami tak źle jeszcze nie jest. Tylko zaraz do pracy, tylko wychowania z rąk nie wypuszczać, tylko śmiało i licznie wchodzić w komitety wychowawcze i tam mężnie bronić zasad chrześcijańskich — a działalność na korzyść młodzieży biednej i opuszczonej potoczy się u nas łożyskiem wiary, pod znakiem krzyża i zbawienia.

Tej idei poświęcił ks. Bosko swe życie; nią ożywił Zgromadzenie salezjańskie.



(1) Do niektórych bardzo postępowych twierdzeń zawartych w tej książce powrócimy w następnych numerach.



Ks. Bosko i Dominik Savio[1].



Pierwsze spotkanie się ks. Bosko z Dominikiem Savio.

Było to w r. 1854, kiedy ks. Kuliero (nauczyciel tamtejszej szkółki wiejskiej) przybył polecić mi jednego ze swoich uczniów, zasługującego dla swej pobożności na szczególniejsze względy. Wasza Przewielebność, odezwał się ów kapłan, będzie miał zapewne podobnych chłopców w swym Zakładzie, lecz z trudnością znajdzie takiego, któryby go przewyższał zdolnościami i cnotą. Niech jeno spróbuje, a przekona się, że to drugi święty Alojzy.

Stanęło na tem, że miał mi go przysłać do Murialdo, dokąd miałem urządzić wycieczkę z moimi wychowankami, aby zażyć cokolwieczek powietrza wiejskiego i odprawić nowennę wraz z uroczystością Matki Boskiej Różańcowej.

Wczesnym rankiem w pierwszy poniedziałek października przedstawił mi się jakiś młody chłopczyna w towarzystwie ojca, prosząc o posłuchanie. Jego czoło pogodne, twarz uśmiechnięta a jednak skromna, zwróciły na siebie mą uwagę.

— Coś ty za jeden? zapytałem go. Skąd jesteś?

— Nazywam się Dominik Savio, o którym mówił Przew. ks. Dobrodziejowi mój nauczyciel ks. Kuliero; jesteśmy z Mondonio, — odparł ojciec i chłopczyk.

Wtedy wziąwszy Dominika na bok, zacząłem go badać co do odbytych nauk, co do sposobu, w jaki prowadził dotychczasowe życie i tak zdobyliśmy sobie zupełne zaufanie, on do mnie a ja do niego.

Poznałem w tym młodzieniaszku serce zupełnie według ducha Bożego i zdumiałem się niemało, rozważając nad tem, ile to łaska Boża zdziałała już w tak młodym wieku. Po dosyć długiej rozmowie, gdym miał zawołać jego ojca, zagadnął mię Dominik temi słowy:

— Więc cóż się Przew. ks. Dobrodziejowi zdaje?

— Czy mię zabierze z sobą na nauki do Turynu?

— No! zdaje mi się, że dobre z ciebie sukno!



Ks. Bosko przyjmuje Dominika Savio.

— A nacóż może się przydać to sukno?

— Aby zrobić piękne ubranie jako podarek dla Pana Jezusa.

— Ja jestem zatem suknem, a ks. Dobrodziej niechaj będzie krawcem; proszę więc wziąć mnie ze sobą i zrobić piękne ubranie jako prezencik dla Pana Jezusa.

— Obawiam się, mój chłopczyku, że dla twej słabowitości nie podołasz naukom.

— Niech się ks. Dobrodziej o to nie troszczy;

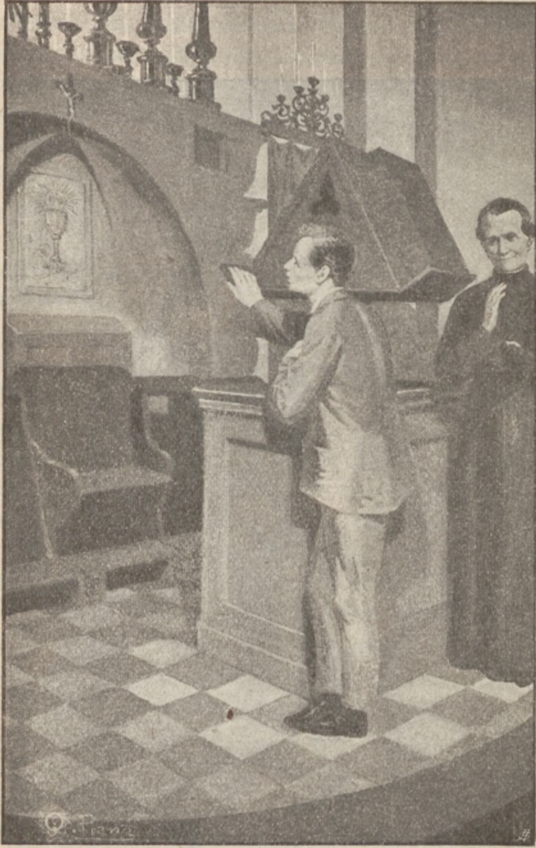
---

(1) Urywki z żywota Dominika Savio, napisanego przez samego ks. Jana Bosko.

ten Bóg, który aż dotąd dał mi zdrowie i łaskę, będzie mię wspomagał także na przyszłość.

— Ale cóż poczniesz po ukończeniu gimnazyum?

— Jeżeli P. Jezus raczy mi użyczyć tyle łaski, gorąco pragnę poświęcić się stanowi duchownemu.



Ks. Bosko znajduje Dominika Savio w zachwycie przed tabernakulum.

— Bardzo dobrze; teraz chcę się przekonać, czy posiadasz dostateczne zdolności do nauki. Weźmij tę książeczkę *(była to broszurka Czytań Katolickich)*, naucz mi się dzisiaj całej tej stronicy na pamięć; jutro zaś powrócisz i wyrecytujesz ją.

Po tej rozmowie pozwoliłem mu pójść i pobawić się z towarzyszami, a tymczasem wdałem się w rozmowę z jego ojcem. Nie upłynęło więcej nad ośm minut, a Dominik uśmiechając się powraca i mówi mi: „Jeżeli ks. Dobrodziej życzy sobie, wyrecytuję już teraz zadaną mi stronicę.“ Wziąłem książeczkę i z niemałem zadziwieniem przekonałem się, że chłopczyk nietylko nauczył się dosłownie tego, com mu zadał, ale że krom tego doskonale pojmował znaczenie wszystkiego.

— Brawo, rzekłem, wyrecytowałeś przed czasem twoją lekcję, dlatego ja ci też przed czasem daję odpowiedź. Tak, wezmę cię z sobą do Turynu i odtąd już zaliczam cię w poczet mych drogich synów. Zacznij także i ty odtąd prosić Boga, aby pomógł mnie i tobie spełnić Jego świętą wolę.

Chłopczyk nie posiadał się z radości, a nie wiedząc w jaki sposób wyrazić najlepiej swoje zadowolenie i wdzięczność, ujął mię za rękę, uściskał ją, ucałował kilkakrotnie a wreszcie rzekł z rozrzewnieniem:

— Ufam, iż tak się będę sprawował, że ks. Dobrodziej nigdy nie będzie potrzebował narzekać na moje postępowanie.

Dominik w Oratoryum.

Gdy przybył do Oratoryum, udał się do mego pokoju, aby się oddać, jak mówił, całkowicie w ręce swoich przełożonych. Jego wzrok padł wtedy na kartę, na której były napisane wielkiemi literami słowa, które zwykł był powtarzać św. Franciszek Salezy: *Da mihi animas, caetera tolle*. Dominik zaczął je czytać z uwagą. Pragnąłem, aby dobrze pojął znaczenie tych słów, zaprosiłem go zatem a raczej pomogłem mu je przetłumaczyć i wysnuć ten sens: *Panie, daj mi dusze, resztę weźmij sobie.* — Chłopczyk pomyślał przez chwilkę, potem rzekł: „Zrozumiałem tak: tu nie interes o pieniądze, ale o dusze; zrozumiałem; ufam też, że i dusza moja będzie miała także cząstkę w tym interesie.

Z początku nie zdradzał Dominik w sobie nic nadzwyczajnego, niezwykłego. Można było jednak zauważyć skrupulatność w wypełnianiu choćby najmniejszych ustaw Zakładowych i wielki zapał do nauki. Wszystkie swoje obowiązki wykonywał z całą żarliwością.

Słuchał z uciechą kazań i miał głęboko wyryte w sercu, że słowo Boże jest dla człowieka drogowskazem w pielgrzymce do nieba; to też każda zasada, którą na kazaniu usłyszał, była dlań trwałą i świeżą pamiątką. W każdej nauce

moralnej, w każdej lekcyi katechizmu, w każdem kazaniu choćby przedłużonem znajdował prawdziwą rozkosz. Jeżeli usłyszał coś takiego, czego nie rozumiał, prosił zaraz o wyjaśnienie. Stąd też wziął początek ten przykładny sposób jego życia, to ciągłe postępowanie z cnoty w cnotę, to dokładne wypełnianie swoich obowiązków, bez którego bardzo trudno postępować drogą cnoty.

Gdy się zbliżała uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny, Dyrektor (t. j. ks. Bosko) zachęcał każdego wieczora wychowanków zakładu kilku słowami, ażeby przygotowali się jak najgodniej na uroczystość tej Matki najukochańszej. Zalecał atoli w szczególniejszy sposób, ażeby każdy prosił tej Szafarki niebieskiej o łaski, którychby czuł większą potrzebę.

Rok 1854 był dla całego świata chrześcijańskiego rokiem uniesienia i nadzwyczajnego ruchu z powodu toczącej się w Rzymie sprawy ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny. Także w Oratoryum czyniły się przygotowania, na ile nas stać było, aby jak najwspanialej obchodzić tę uroczystość i z pożytkiem duchownym dla naszych wychowanków. Savio był jednym z najgorliwszych i gorąco pragnął świątobliwego jej obchodzenia. Wypisał sobie dziewięć kwiateczków czyli dziewięć aktów cnoty do praktykowania, wyciągając losem codziennie po jednym. Przygotował się i odprawił z niewymowną radością swej duszy spowiedź generalną, i przystąpił do Sakramentów św. z jak największem skupieniem.

Po wieczornem nabożeństwie tego samego dnia 8 grudnia ukląknął Dominik za radą spowiednika przed ołtarzem Maryi, odnowił obietnice przy pierwszej komunii uczynione, następnie powtórzył kilkakrotnie te właśnie słowa: „O Maryo, Tobie ofiaruję serce moje; spraw, aby ono pozostało zawsze Twoją własnością. O Jezu, o Maryo, bądźcie zawsze moimi przyjaciółmi. Użyczcie mi tej łaski, błagam Was, abym raczej umarł, aniżeli miał to nieszczęście popełnić chociażby jeden tylko grzech.

Po tem uroczystem zaofiarowaniu się Maryi i oddaniu pod Jej opiekę macierzyńską swego nabożenstwa, Dominik takie chyże kroki począł robić na drodze doskonałości, że od razu zajaśniał szczególniejszemi cnotami. Jego świątobliwe życie było połączone z takimi aktami cnót, że począłem je sobie notować, aby ich nie zapomnieć.

Dar modlitwy i umartwienia Dominika Savio.

Między łaskami, jakiemi Bóg raczył obdarzyć tego świątobliwego młodzieniaszka, otrzymał on



Dominik Savio z krzyżem w ręku godzi dwóch towarzyszy, którzy spór swój kamieniami rozstrzygnąć chcieli.

był szczególniejszy dar modlitwy. Dusza jego tak była przyzwyczajona do obcowania z Bogiem, że skupiał swoje myśli i aktami strzelistymi wznosił się do Boga nawet wśród krzyków i zgiełku rekreacyjnego. Kiedy zaś modlił się wspólnie z innymi, podobny był do Anioła: nieruchomy i ułożony do modlitwy w całej postawie, nie opierając się o nic, z twarzą uśmiechniętą, z głową cokolwiek pochyloną, z oczyma spuszczonemi, rzekłbyś, że to drugi św. Alojzy. Wystarczyło go zobaczyć modlącego się, aby się zbudować. Ale jak ogień nie pozostaje sam

w sobie na tem samem miejscu, lecz rozpłomienia się i ogarnia wszystko, cokolwiek wokoło niego się znajduje, tak żarliwość Dominika rozciągała się także na jego towarzyszy. W największym zapale gry przyskakiwał to do tego, to do owego i zachęcał do pobożności a zwłaszcza do nabożeństwa ku Matce Najśw., gdyż kochał Ją miłością prawdziwie synowską. Cieszył się też niezmiernie, gdy mu się udało nakłonić kogo do odprawienia jakiej praktyki na cześć swej Matki niebieskiej.

Pewnego razu prosił towarzysza, aby się z nim udał do kościoła odmówić nieszpory na cześć Matki Boskiej. Towarzysz wymawiał się, że mu zimno; Dominik zdejmuje więc czemprędzej płaszcz i rękawiczki i pożycza ich towarzyszowi, byleby tylko z nim poszedł.

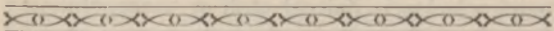
Z modlitwą łączył Dominik pokutą. Wiek jego, zdrowie słabowite i niewinność życia uwalniały go bezwątpienia od wszelkiego rodzaju pokuty. Savio jednakże wiedział, jak trudną jest rzeczą młodzieńcowi zachować niewinność bez pokuty i ta myśl wywarła na niego takie wrażenie, iż zdawało mu się, że droga cierpień wysłana jest różami.

W swoim zapale postanowił pościć w każdą sobotę o chlebie i wodzie na cześć Najśw. Panny. Nie otrzymawszy na to pozwolenia, kładł sobie do łóżka kawałki drzewa, nie okrywał się dostatecznie w porze zimowej i wynajdywał różne inne sposoby dręczenia swego ciała. Gdy jednak ks. Bosko dowiedział się o tem, ze względu na jego zdrowie zabronił mu jakiejkolwiek pokuty.

Dominik, choć z żalem, zastosował się do tego rozkazu, lecz razu pewnego rzekł cały zakłopotany: „Ach! bieda ze mną! jestem w prawdziwym ambarasie! Zbawiciel mówi, że jeżeli nie będę czynił pokuty, nie wnijdę do królestwa niebieskiego, a mnie zabroniono surowo zadawać sobie jakiejkolwiek pokuty. Jakież więc będzie to moje niebo?“ — Ks. Bosko wtedy pocieszył go i polecił mu, aby wzamian za to ćwiczył się w doskonałem posłuszeństwie i w cierpliwem znoszeniu wszelkich krzywd i obelg oraz tych niewygód, które z konieczności znosić musimy.

Dominik usłuchał rad swego ojca i kierownika, znosząc wszelkie niedomagania i krzywdy, jakich mu towarzysze mniej przykładni nie szczędzili, z heroiczną cierpliwością. Umartwiał za to swoje zmysły, osobliwie oczy, które, jak mawiał, są jakoby oknami, przez które wpuszczamy do serca anioła albo też czarta. To ustawiczne trzymanie na wodzy swoich oczu, tyle go kosztowało poświęcenia, że dostawał nieraz z tego powodu silnego bólu głowy.

Dzięki jednak tej niezmordowanej walce przezwyciężył się i umiał zapanować zupełnie nad swoim wzrokiem. Za to teraz, ufamy, cieszy się widokiem piękności niebieskich i oglądaniem Tych, których obrał sobie za szczególniejszych przyjaciół, t. j. Jezusa i Maryi.



Do wspólnej pracy pod godłem krzyża.

Znane jest Szanownym Czytelnikom stanowisko nasze wobec prasy katolickiej. Że sobie zdajemy sprawę z jej wielkiego zadania i doniosłości w naszych czasach, o tem pisaliśmy wcale nie dwuznacznie w ostatnim numerze Wiadomości Salezjańskich *w artykule pod tytułem* Prasa. *Wiemy, że słowa nasze zwróciły na siebie uwagę Czytelników tem, że zawierały twierdzenia* bardzo śmiałe, *że wpływowi prasy przypisywały wielką potęgę, że w stosunku do pism niekatolickich rzucały hasło mało zgodne z tollerancją i znaną u nas słabością.*

Dziś wracamy do tego samego przedmiotu nie po to, aby prostować, aby się cofać, ale aby do wiadomości Czytelników podać fakt, który nie może nie wywrzeć najkorzystniejszego wpływu na przyszłe losy i działalność całej katolickiej prasy w Polsce. Takim faktem jest I Zjazd Pisarzy i Dziennikarzy Polskich Katolickich w Warszawie, *który odbędzie się 18, 19 i 20 czerwca b. r.*

Ktokolwiek wie, ile u nas dobrych chęci, ile zdolności i talentów pisarskich marnieje w obozie katolickim wskutek zupełnego rozbicia na polu piśmiennictwa, ten tylko przyklasnąć może myśli podanej przez Redakcję Wiary *i życzyć katolickiej sprawie jak najrychlejszego zjednoczenia prasy naszej pod godłem krzyża. Z wielką przyjemnością więc zamieszczamy poniżej nadesłane nam zaproszenie na Zjazd, pragnąc, aby i nasi Czytelnicy z kół literackich gorliwie się tą sprawą zajęli.*

ZAPROSZENIE NA PIERWSZY ZJAZD
Pisarzy i Dziennikarzy Polskich Katolickich
W WARSZAWIE.

P. T.

Znana jest wszystkim doniosłość, jaką prasie i piśmiennictwu katolickiemu przypisuje wielki Leon XIII, a wślad za nim i Ojciec św. Pius X.

W dzisiejszych czasach pióro katolickiego pisarza stało się narzędziem, którem Kościół w obronie i ku szerzeniu swych zasad w najszerszej mierze posługiwać się musi. Stąd też wszystkie społeczeństwa katolickie w jednoczeniu sił pisarskich, jakiemi rozporządzają, w ich rozwoju i w nadaniu swej prasie jednolitego i celowego kierunku upatrują najdonioślejsze zadanie doby obecnej.

Powstają tedy na Zachodzie wielorakie organizacje prasy katolickiej, zwoływane są liczne perjodyczne zjazdy pisarzy, a dzięki tej akcji, piśmiennictwo chrześcijańskie coraz większym i szerszym cieszy się w Europie wpływem i powagą. Wzajemne bowiem poznanie się i łączenie w celu obmyślania i omówienia najbliższych zadań chwili, jest niewątpliwie dla pisarzy katolickich pierwszym warunkiem ich owocnej działalności.

Niestety my, Polacy, w warunkach dotychczasowych nie mogliśmy o czemś podobnem nawet marzyć. Obecnie jednak, gdy okoliczności ułożyły się nieco pomyślniej, powinniśmy starać się jaknajusilniej powetować to nasze mimowolne w pracy koniecznej opóźnienie. Wszyscy bowiem odczuwamy aż nadto silnie gwałtowną potrzebę zjednoczenia rozstrzelonych wciąż i rozprószonych naszych katolickich sił pisarkich.

Te powody mając na względzie,—otrzymawszy błogosławieństwo i pozwolenie J. E. Najdostojniejszego Arcypasterza,—w porozumieniu z istniejącymi w Warszawie tygodnikami katolickimi, redakcja ,,*Wiary*" postanowiła zaprosić do stolicy naszej na kilkudniowe narady wszystkie nasze siły umysłowe, pracujące w duchu katolickim na polu piśmienniczem.

W tym celu udaję się do P. T., aby zechciał wziąć czynny udział w tym I-ym Zjeździe Polskich Pisarzy i Dziennikarzy katolickich, który zwłaszcza dziś ze względu na rozpasanie się żywiołów wrogich kulturze chrześcijańskiej i polskiej, szczególniejszego nabiera znaczenia.

Zjazd trwać będzie trzy dni, rozpocznie się zaś w Warszawie, we wtorek 18 czerwca r. b. o godz. 10-ej rano.

Przedmiotem obrad Zjazdu będą wyłącznie kwestje mające ścisły związek z powołaniem i zadaniem katolickiego pisarza. To też na porządku dziennym znajdują się następujące podstawowe zagadnienia:

I. *a)* obrona słowem drukowanem zasad wiary i moralności katolickiej;
b) szerzenie piórem myśli katolickiej we wszystkich warstwach społeczeństwa polskiego;
c) obmyślenie środków dla skutecznego przeciwdziałania złym i niemoralnym książkom, tudzież pismom perjodycznym zwalczającym religję;
d) dostarczanie w przyszłości materjału książkowego dla tworzących się obecnie licznych bibljotek parafialnych;
e) omawianie potrzeb prasy ludowej;
f) kolporterja katolickich pism, książek i broszur i t. p.

II. *a)* organizacja Stowarzyszenia polskich pisarzy katolickich;
b) zawiązanie komitetu zwołującego perjodyczne zjazdy, tudzież stałej reprezentacji spraw i interesów katolickiego dziennikarstwa i piśmiennictwa;
c) omówienie sprawy wyrabiania i kształcenia nowych szermierzy katolickiej prasy;
d) omówienie sposobu popierania piórem istniejących, lub mających być założonymi stowarzyszeń i związków katolickich i t. p.

Każdy kto raczy uczestniczyć w Zjeździe, zechce do dnia 1 maja r. b. przesłać pod niżej podanym adresem piśmienne swe zgłoszenie. Kto zaś pragnąłby w ciągu Zjazdu odczytać własny

*

referat w przedmiocie wchodzącym w zakres wyżej naznaczonego programu, obowiązany jest o swym zamiarze uprzedzić biuro organizacyjne do d. 15 maja, z naznaczeniem kwestji, jaką w referacie poruszyć zamierza. Odczytanie referatu nie może zajmywać więcej ponad 10 minut czasu.

Uczestnicy Zjazdu w przeddzień rozpoczęcia obrad zaopatrzyć się muszą w biurze organizacyjnem (Szpitalna 12) w kartę wejścia, za cenę rb. 3 na koszta zjazdu, przyczem otrzymają szczegółowy program miejsca i godzin pracy, tudzież treści i porządku referatów.

Ze względu na techniczną trudność, a nawet fizyczną niemożebność, aby niniejsze zaproszenie doszło bezpośrednio do wszystkich osób w tym Zjeździe zainteresowanych, każdy zjednoczony z nami myślą, sercem i działaniem raczy łaskawie bez względu na otrzymanie imiennego zaproszenia, nam zgłoszenie o udziale do biura organizacyjnego przesłać.

Mam nadzieję, że P. T. zechce w miarę możności swym wpływem i pracą przyczynić się do powodzenia tego I-go Zjazdu Polskich Pisarzy i Dziennikarzy Katolickich, którzy pod godłem Krzyża zjednoczyć się pragną.

Redaktor Wiary

Roger Łubieński.

Warszawa, Redakcja Wiary
ul. Szpitalna 12
d. 4 marca 1907 r.

Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu czerwcu.

Pomocnicy Salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu czerwcu następujące odpusty:

A. — *Zupełne:*

1) W dzień św. Jana Chrzciciela (24. czerwca).

2) W dzień wspomnienia św. Pawła Apostoła (30. czerwca).

3) W dzień, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

4) Raz w miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

5) » » » w którym odprawią t. z. ćwiczenie dobrej śmierci.

6) W dniu, w którym się poraz pierwszy poświęcą Najświętszemu Sercu Jezusowemu.

7) Ilekroć przez 8 dni z rzędu odprawią rekolekcje.

8) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Odpusty Cząstkowe:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyścu cierpiące.

C. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

D. — *Indulty.*

a) Pomocnicy chorzy lub rekonwalescenci, którzy nie mogą wygodnie wychodzić z domu, dostępują wyżej podanych odpustów, jeżeli zamiast zwiedzenia kościoła zmówią pięć Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu.

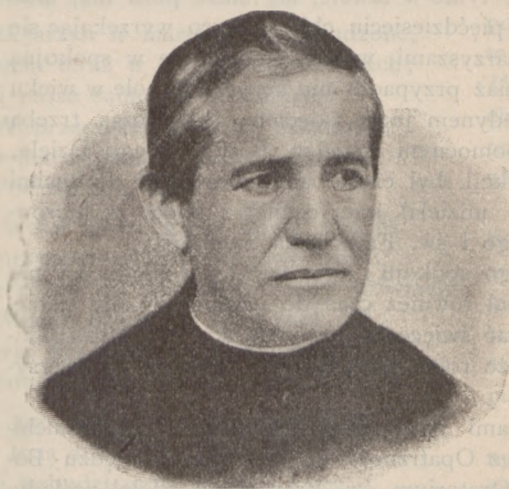
b) Pomocnicy żyjący w seminarjach, kolegjach i innych Zgromadzeniach, mogą dostąpić wszystkich odpustów nadanych Związkowi Pomocników i odpustów udzielonych kościołom Zgromadzenia Salezjańskiego, jeżeli wypełnią inne warunki i zwiedzą swój kościół, lub w braku tegoż, prywatną kaplicę swego domu.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów*, trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz*, *Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).



Ś. p. ks. prof. Celestyn Durando.



We Wielką Środę rano o godz. 7ej Anioł śmierci pogrążył w żałobie Oratorjum św. Franciszka Salezego i całe Zgromadzenie Salezjańskie, powołując do wieczności jednego z naszych wyższych Przełożonych, księdza prof. **Celestyna Durando.** W jego osobie znikł jeden z najstarszych i najprzywiązańszych synów ks. Bosko, poważny świadek pierwszych czasów Oratorjum św. Franciszka Salezego, niestrudzony pracownik, kapłan pobożny i przykładny, dusza łagodna i bezinteresowna, słowem jeden z mężów wyrobionych całkowicie przez księdza Bosko, którzy jemu oraz jego Dziełu poświęcili szczodrze całe swoje życie.

Tknięty paraliżem postępowym dnia 12. marca, biedny ks. Durando znalazł się wkrótce u kresu życia; z tego powodu w niedzielę passyjną, 17. marca, z budującą pobożnością przyjął św. Wiatyk, który z bólem w sercu zaniósł mu sam Najprzew. ks. Rua. Następnie polepszyło mu się trochę, z czego lekarze wywnioskowali, że może uda im się go jeszcze uratować. On jednakże zdany zupełnie na wolę Bożą, zachowywał ciągłe skupienie i tylko wtedy na chwilę je przerywał, gdy chciał okazać swą wdzięczność za liczne dowody czułego zainteresowania i współczucia, jakie mu w jego chorobie okazywano. Jego Eminencja ks. kardynał Richelmy, arcybiskup turyński, dowiedziawszy się o chorobie pacjenta, w wigilję św. Józefa wieczorem przybył do jego łoża, aby go pocieszyć słowy pełnemi tkliwości i arcypasterskiem błogosławieństwiem. Równą łaskawość okazali mu Ich Ekscellencje Mgr. Alojzy Spandre, biskup tytularny Tyberyady, i Mgr. Jan Ressia, biskup w Mondovì, jego dyecezji. Także Ojciec św. raczył mu nadesłać telegraficznie swe błogosławieństwo łącznie z serdecznem życzeniem wyzdrowienia. Atoli 23. marca, gdy krew ponownie uderzyła na mózg, drogi ks. Durando wstąpił w powolne konanie, które się przeciągło aż do dnia 27. marca, w którym **Pan** powołał go do siebie. Mamy silne przekonanie, że zasługi jego życia czynnego i przykładnego otworzyły mu już bramy niebieskie, lecz mimo to polecamy go gorąco modlitwom naszych Czytelników.

Celestyn Durando urodził się we Farigliano, prowincji Cuneo a dyecezji Mondovì, dnia 29. kwietnia r. 1840. Przeniósłszy się z ojcem do Turynu, uczęszczał najpierw do niższych klas gimnazjalnych Kolegjum Narodowego *del Carmine.* Zostawszy przyjętym 30. kwietnia 1856 r. przez ks. Bosko do Oratorjum św. Franciszka Salezego, z względu że nie było tam jeszcze klas gimnazjalnych,

uczęszczał w dalszym ciągu do Kollegjum Narodowego, a następnie do szkoły ks. profesora Picco, który podziwiając jego bystry umysł, rokował mu świetną przyszłość. Lecz on, złożywszy maturę, oddał się całkowicie księdzu Bosko, którego kochał uczuciem iście synowskiem. Istotnie przywdziawszy sukienkę kapłańską dnia 6. listopoda 1857, został niebawem jednym z pierwszych nauczycieli Oratorjum św. Franciszka Salezego. Kochany i czczony przez wychowanków, gdyż był dla nich wszystkiem nie tylko w szkole, ale także poza nią, miło było widzieć gromadę czterdziestu lub pięćdziesięciu chłopców, co wyrzekając się wesołych i krzykliwych zabaw z towarzyszami, woleli wdawać się w spokojną rozmowę z klerykiem Durando. A chociaż przypadło mu uczyć w szkole w wieku bardzo młodym, nie było to jednak jedynem jego zajęciem. Podówczas trzeba było imać się wszystkiego, aby być pomocnym księdzu Bosko w jego Dziele, a więc ks. Durando, po skończeniu lekcji, był często zmuszony zejść do kuchni przygotować obiad.... w niedziele zaś udzielał swej cennej pomocy w kierownictwie kaplic świątecznych św. Alojzego i św. Franciszka Salezego.

Pomimo swego charakterystycznego spokoju i swej zwykłej dokładności, nie tylko nauczał i pracował, ale znajdywał również czas do uczenia się dla siebie, tak że 21. maja 1864 r. mógł otrzymać święcenia kapłańskie z rąk Mgra Ghilardiego, biskupa w Mondovì; w tymże roku osięgnął w turyńskim Uniwersytecie stopień doktora filozofji.

Zaprzyjaźniony z takiemi powagami naukowemi jak Vallauri, Lanfranchi i Allievo, widząc się powołanym przez Opatrzność do pomagania księdzu Bosko głównie w zorganizowaniu klas Oratorjum św. Franciszka, zdołał naśladować energję owych mężów i znalazł przytem czas do ułożenia *Prawideł literatury*, oraz małej gramatyki łacińskiej p. t. *Nuovo Donato*. Z polecenia księdza Bosko wydał również dwa nader cenne słowniki łacińsko-włoskie i włosko-łacińskie, które między innymi przymiotami mają i ten, że nie zamieszczono w nich ani jednego takiego wyrażenia, któreby mogło zamącić umysł uczniów. Prócz tego stał na czele *Bibljoteki młodzieży włoskiej*, która wydała przeszło 200 tomów klasyków włoskich.

I jakby to nie wystarczało, zaledwie Zgromadzenie Salezjańskie zaczęło przybierać formę regularną, wybrano go członkiem Wyższej Kapituły, na którym to urzędzie pozostał aż do śmierci, przyczyniając się do rozwoju Dzieł salezjańskich i zjednując sobie cześć oraz przyjaźń najwyższej arystokracji piemonckiej, wielu kardynałów, arcybiskupów i biskupów włoskich i zagranicznych, i licznych innych znakomitych osobistości. Znanym był także w Polsce, ponieważ przez jakiś czas sprawował urząd Inspektora naszych domów polskich i austrjackich, a w roku 1899 zawiózł do Oświęcimia dzisiejszego Inspektora (prowincjała) ks. dra. Emanuela Manassero.

Ks. Durando nie miał nieprzyjaciół; owszem wszyscy którzy go znali, żywili dlań cześć, uszanowanie i życzliwość. Jego zgon zatem będzie szczerze opłakiwany przez licznych jego uczniów i wielbicieli i zjedna mu obfitość modlitw z ich strony. Wobec grozy atoli, jaką nas przejęła jego niepowetowana strata, czujemy ponowną potrzebę proszenia wszystkich naszych Czytelników o gorące polecenie jego duszy Bogu miłosiernemu.

Modlitwa emigranta.

Wspomnij, o Jezu, Twe lata dziecięce,
Kiedyś uciekał przed złością tyrana;
Niosły Cię święte Opiekuna ręce,
Niosła Cię Matka kochana.
A nas tu niosło rozhukane morze —
Ratuj nas, Boże!

Jak listki jarzyn w martwy żwir wsadzone,
Więdniejem teraz w niegościnnych lasach;
A dzieci nasze samotne, stęsknione,
W przemokłych płaczą szałasach.
Więc że marniejem na obcym ugorze,
Pociesz nas, Boże!

Tam w ojców ziemi, kiedy nowy dzionek
Dawne przypomniał nam życiowe troski,
Wnet je rozpędzał dźwięczny ranny dzwonek
Wesoło dzwoniąc do wioski.
Tu zwierza ryk nowe oznajmia zorze;
Smutno nam, Boże.

Tam za morzami Matka z Jasnej Góry
Tuli do łona utrapione dzieci;
Nadzieję wzbudzi odwiecznymi mury,
Pamiątką serca podnieci.
Szczęśliwy, kto się do Niej udać może,
O dobry Boże!

Tam za morzami, gdy z gnębionej ziemi
Bracia do Rzymu pokierują kroki,
Kojącą rękę podniesie nad nimi
Ojciec z Piotrowej Opoki,
Co z miljonami dusz zawołać może:
Pociesz ich, Boże!

A my, rzuceni za niezmierne wody
Sto mil od Rzymu, sto mil od Ojczyzny,
Kroczymy na mszę do lichej gospody,
Zmieszani w zgrai dziczyzny,
Gdzie nas ksiądz obcy pocieszyć nie może!
Pożal się, Boże!

Bo nas tu nie wrogów przemoc rzuciła
Na te bezdroża, lecz nasza ciemnota;
Głód spalił zmysły, a rozum przyćmiła
Nadzieja marnego złota.
Więc my przed Tobą padamy w pokorze:
Przebacz nam, Boże!

Tobiasz, kiedy poszedł po ojcowiznę,
Sam Twój Archanioł prostował mu drogi;
Aż szczęśliwy wróciwszy do ojczyzny,
Rodzinne powitał progi.
Tak niech do kraju wrócim raz przez morze
I my, o Boże!

Krytyczna chwila.

Do Rodziców.

Zbliża się dawno upragniony dla uczącej się młodzieży czas wakacyjny, czas błogi, pełen najdziwaczniejszych marzeń i oczekiwań. ,,Cały rok się ślęczało nad książką i chodziło w ryzie — warto zatem bodaj z jeden miesiąc poswawolić sobie, a jeżeli się uda albo stać na to, zastosować się co do joty do przysłowia: *Używaj świata, póki służą lata.*'' I ta nasza ukochana młodzież, ta nadzieja naszej przyszłości, ten skarb naszego społeczeństwa najdroższy jedzie używać tych upragnionych feryi.

Różne są kategorye tych udających się do domu po ostatniej lekcyi roku szkolnego. Ja atoli rozczłonkuję ich na dwie tylko: na tych, którzy na zawsze zatarasowali za sobą podwoje szkolne i wyszli z dzieciństwa, i tych, którzy już od roku a może i więcej jedzą i dłużej jeść muszą chleb studencki lub terminatorski.

Rodzice pierwszych biorą ich świadectwo do ręki i zamyślają się głęboko To dopiero pierwszy krok. Cóż poczniemy dalej z naszem dzieckiem? — Ojciec patrzy na matkę, matka na ojca. — Cóż poczniemy? szepcą oboje z cicha. Matce zakręci się łezka w oku, a ojciec gryzie sobie wargi aby ukryć wzruszenie. Wreszcie matka szlochając, rzecze.

— Mój Boże! dziecko ma zdolności; przecież go w domu . . . do cepów . . . Ojciec tymczasem zwiesiwszy głowę, patrzy na swe poodgniatane i szorstkie dłonie i ciężko wzdycha.

— Znowu wydatki . . . Jak chcesz . . .

— A więc damy go do szkół? pyta matka.

— Jak chcesz . . . może jakoś . . . kto wie . . . będzie podporą starości.

— Gdzie go więc umieścimy?

— Gdzie się da, byle tylko z małym kosztem; w domu nie miał wygód, to i tam na małem się obejdzie; on już tam sobie da radę . . .

No i rzecz postanowiona. Matka otarła łzy, a ojciec zdjął okulary i wraz ze świadectwem schował je do stolika; obom lżej się na sercu zrobiło. Syn pójdzie do gimnazyum; jakiś kącik dostanie mu się przecież w mieście i będzie dobrze.

Biedni rodzice! Pomyśleli tylko o stronie materyalnej dziecka, a i to nie dobrze.

Więc ten chłopiec dostanie się na stancyę tanią wspólnie z innymi kolegami, żeby jeszcze taniej wyszło. Co za życie on tam będzie pędził, o to rodzice się nie pytają, byleby tylko wyuczył

* *

się i stał się podporą ich starości. Jeżeli chłopiec chętny do nauki, dobry, z głęboko wszczepioną wiarą ojców naszych, może jakoś się utrzyma i nadal; ale jeżeli nie był w domu trzymany w karbach i nie wychowany należycie, teraz, kiedy puszczony jest samopas, cóż on pocznie?

''Wplątany w towarzystwa lekkomyślne a czasami zepsutych kolegów, powoli ulega ich wpływowi, zwłaszcza jeśli nie posiada hartu woli i ustalonych zasad, jeśli jest usposobienia miękkiego i wrażliwego. Koledzy imponują mu tak łatwo: szykiem, majątkiem, wiekiem, stanowiskiem, oczytaniem, mędrkowaniem, byle czem wreszcie, ale imponują — a on nie ma odwagi opierać się; idzie więc za nimi, jak baranek, który kozła udaje. Idzie za kolegami i jak umie dostraja się do nich z początku, aby się nie wyróżniać, później z nawyknienia, w końcu rozkoszuje się w tem, czem z początku gardził. Koledzy rozmawiają nieprzyzwoicie — i on rozmawia; oni lekceważą naukę, i on lekceważy; oni szydzą z praktyk religijnych, i on szydzi; oni piją, szaleją, okłamują starszych, i on chce pokazać, że potrafi to samo.

Ulega wpierw grzesznym ciekawościom, poczem stopniowo zatraca delikatność sumienia, poczucie etyczne, wreszcie daje się zepchnąć do czynów wprost ohydnych. Upadek następuje po upadku, nauka kuleje, zdrowie szwankuje a charakter nikczemnieje'' (1).

Gdyby zaś przypadkowo ojciec albo matka przyjechała go odwiedzić, jakążeby nie została zdjęta boleścią!

— Gdzież, dziecko kochane, twój dawny rumieniec? Gdzie twe oczy takie żywe i wesołe? Cóż to znaczą te lica wyżółkłe, te sińce pod oczami? — Czyś może chory, kochanie moje?

Syn trzyma oczy w dół spuszczone i nic nie odpowiada, ale biedna matka spostrzega, że syn naprawdę chory i to jak jeszcze chory: podwójnie, bo na ciele i na duszy.

I cóż dziwnego? Chłopiec, będąc w domu, żywił się jako tako, ale też praca, jaką się zajmował, była odpowiednia: hartowała go i czyniła jego organizm odpornym na wszelkie niedomagania a nawet choroby. Krom tego powietrze i wogóle życie wiejskie to wiele znaczy. Teraz atoli bądź co bądź zawsze przecież ślęczy godzinami nad książką, żołądek zaś stosownie do zajęcia chłopca upomina się o swoje prawa i przywileje. Jakżeż zatem ma być zdrów, jeżeli nie ma, co mu potrzebne?

(1) *Na przełomie*, cz. I.

Dodajmy jeszcze, że stancya ma być tania: więc pokoiczek nizki, wilgotny, z okienkiem jak dziura od ula, w dodatku na śmiecisko podwórka zwróconem. I przy takich warunkach zdrowotnych ma być czerstwa i silna nasza młodzież?

A dusza? — Tu chyba z żalem trzeba zawołać z Martą: ,,*Domine, jam foetet! Panie, już cuchnie!*'' Gdy chłopiec opuszczał dom rodzicielski, był dobry, niewinny; a teraz? — Ach, w sercu jego pełno zgnilizny — to trup chodzący.

Czegoż atoli można się było po nim spodziewać wśród otoczenia takich doborowych koleżków — bez opieki — bez kontroli?

Nieszczęśliwi naprawdę rodzice! Cieszyli się, że tanim kosztem wychowają syna na dzielnego obywatela ojczyzny i na podporę swej starości, a tu przeciwnie drogim kosztem, bo ceną łez i zgryzot, wychowają — suchotnika syfilityka.

Baczność więc rodzice i opiekunowie, zanim zrobicie ten krok stanowczy! Lepiej dobrze wprzódy się namyślić, aniżeli potem gorzko opłakiwać swą nierozwagę, gdy będzie już po niewczasie. Chcecie, aby dziecko wasze kształciło się dalej? — Dobrze, poślijcie je na nauki, ale pamiętajcie, że będzie stokroć lepiej dla dziecka i dla waszego sumienia, jeżeli chodzić będzie za pługiem lub wywijać cepami a z sumieniem czystem, gdyż koniec końców do wszystkich odnoszą się słowa Pisma św.: ,,*W pocie czoła pożywać będziesz chleba,*'' aniżeli zasiadać na katedrze profesorskiej z utratą duszy swej — tego skarbu najdroższego. — Co za ruiny sprawiła już nieraz ta niepohamowana żądza oglądania swych dzieci otoczonych aureolą wiedzy i godności!

Potrzeba zatem oddać dziecko pod opiekę pewną i mieć na myśli nie tylko utrzymanie ciała, ale także duszy. ,,Na fali życia wieleżto wirów i prądów rwących ku przepaści, których młodzieniec się nie ustrzeże, a przeciwko którym jest zupełnie bezbronny. On nie wie jeszcze, że zmysły są nienasycone i nigdy nie powiedzą: *dosyć* (za przykład może służyć pijak) i że nieokiełznane, są człowiekowi największym tyranem, zdolnym doprowadzić go do ostatecznych granic.'' (1). Jakżeż więc może w tej chwili przełomowej obejść się bez doradcy, bez szczerego i prawdziwego przyjaciela, któryby go upominał, kierował nim a nawet strofował, jeżeli tego zajdzie potrzeba? *(Dokończenie nastąpi).*

(1) Na przełomie, cz. I.

WIADOMOŚCI POTOCZNE

OŚWIĘCIM. — Nasi Przezacni Czytelnicy wiedzą z pewnością z marcowego numeru *Wiadomości Salezjańskich*, że w tym roku przypada dla Zgromadzenia Salezjańskiego bardzo ważna rocznica. Przed pięćdziesięciu laty, a właściwie 9 marca 1857, zmarł świątobliwy młodzieniaszek Dominik Savio. Byłto liczny kwiatek, wypielęgnowany przez sławnego wychowawcę XIX w. Ks. Jana Bosko w Oratorjum salezjańskiem w Turynie. Jego pamięć owiana jest aureolą świątobliwości w każdym Zakładzie salezjańskim i służy za wzór dla wychowanków.

Kilku nawet książąt Kościoła św. jak kard. Parocchi, Capecelatro i biskup Manacorda wyrażali się z podziwem i czcią o tym świątobliwym młodzieniaszku, stawiając go za wzór uczącej się młodzieży. To też z zapałem przyjęto myśl, podaną przez komitet w tym celu zawiązany w Turynie, aby obchodzić uroczyście tę rocznicę.

Dowiedzieliśmy się, że także w Zakładzie oświęcimskim, aczkolwiek oddalonym od macierzystego domu, nie bez skutku odbiło się to wdzięczne echo. Prosiliśmy zatem naszego kronikarza, aby nam zechciał przesłać kilka rządków ze swego notatnika. Niestety kronikarz, jakto zrzęda, marudził i nie chciał dać, tłumacząc się, że to sprawy zbyt poufne, aby miały ujrzeć światło dzienne i zasiąść w szpaltach naszego miesięcznika. Cóż robić? — Trzeba było się chwycić forteli i tak podstępnie wydostaliśmy następujące szczegóły.

Pod datą 10 marca r. Pańskiego 1907, 11. w nocy stało w notatkach kronikarza tak: Na sali rekreacyjnej ogromny ruch. Ten ciągnie drabinę, tamtem różne makaty czy draperye weneckie, inny zakłada lampki elektryczne.

O godzinie szóstej zadrgały dzwonki, wołając na zabawę. Chcę wychodzić, a tu słyszą przy drzwiach przyciszoną rozmowę dwu chłopców. Rozmowa toczy się żywo, przystaję więc i nadsłuchuję. Poznałem ich, ale dla salwowania ich honoru nazwę jednego Michasiem a drugiego Kubusiem.

Kubuś — A po co tam pójdziesz?

Michaś — A gdzie chcesz iść?

Kubuś — Skryjmy się w jakim kącie, a gdy się wieczorek skończy, wmieszamy się zręcznie między drugich i żywa dusza nie będzie wiedziała o naszej nieobecności.

Michaś — Dlaczego tak nienawidzisz tych wieczorków? Jesteś przecież zawsze pierwszy do zabawy.

Kubuś — Tak, gdyby to był teatr, o! wtenczas nie potrzebowałbyś mię nakłaniać, abym poszedł. Kto wie, co tam za argumenta będą dziś traktowane; może o pobożności i t. p. ascetycznych rzeczach.

Michaś — Choćby i o tem. Bójże się Boga! i ty masz wstręt do takich rzeczy?! Chyba chcesz zakrawać na socjalistę i niedowiarka...

W tem ruszyłem klamkę i moi spiskowcy — jakby piórem zmiótł — zniknęli w głębi korytarza; słyszałem tylko echo jelenich susów rozlegających się po schodach.

Zszedłem na dół. W głębi sali rekreacyjnej wśród draperyi i dekoracyi wisiał zasłonięty obraz młodzieniaszka Dominika Savio, wykonany przez artystę-malarza p. Stankiewicza z Oświęcimia. Wszyscy czekają z niecierpliwością, rychło trąbki kapeli oznajmią początek i zasłona z obrazu się uchyli. Ja tymczasem siadam sobie w tyle na uboczu i patrzcie — czy traf, czy co — właśnie za owymi dwoma spiskowcami.

Naraz zadrżały szyby i jęknęły sklepienia od potężnego odgłosu trąb, po którym nastąpiły przeciągłe oklaski. — Odsłonięty obraz ładny, ujmujący, taki właśnie, jaki znalazłem w marcowym numerze *Wiadomości Salezjańskich*, tylko, rozumie się, w wielkich rozmiarach, ładnie oświetlony światłem elektrycznem.

W słowie wstępnem jeden z przełożonych w krótkości wykazał potrzebę usilnej i statecznej pracy już od lat młodzieńczych nad wyrobieniem w sobie prawdziwego charakteru. Za wzór stawił Dominika Savio, który aczkolwiek umarł młodo, bo zaledwie miał lat 15, mimo to wyrobił w sobie taki charakter, że nie było mu nic do zarzucenia i słusznie można zastosować do niego słowa, które Kościół św. stosuje do św. Stanisława Kostki: Consumatus in brevi, explevit tempora multa: stawszy się za krótki czas doskonałym, przeżył czasów wiele.

Następowały potem deklamacye prozą i wierszem, przeplatane jużto śpiewem, jużto muzyką kapeli lub orkiestry. Głębokie wrażenie wywarł na wszystkich odczytany sen ks. Bosko, w którym opowiada ukazanie mu się Dominika Savio.

Program rozwijał się interesująco i szybko, tylko pod koniec zakradł się doń mały dyssonans. Przew. ks. Dyrektor musiał nagle wyjeżdżać; nie chcąc zaś opuszczać zebranych bez upominku, przedstawił w krótkich ale rzewnych słowach, że cnota czy rychlej, czy później zostanie wynagrodzoną. „Czy Dominik Savio, tak mówił czcig. ks. Dyrektor, myślał o tem, że takie hołdy będzie odbierał? Pewnie że nie. On pragnął być zapomniany od wszystkich, byleby tylko być z Jezusem i Maryą. Te też słowa zostawił jako upominek i pamiątkę z niniejszego wieczorku.

Gdy kapela zagrała finał, Kubuś zapytał się Michasia:

— Cóż ty na to? podobał ci się wieczorek?

— Ładny, odparł Michaś! Dobrzem zrobił, że usłuchałem twej rady, bo niejedno przypadło mi do gustu, osobliwie ta niewinna postać świętego młodzieniaszka.

— Warto go naśladować, nieprawdaż?

— Bezwątpienia, chociaż będzie to niemało człowieka kosztowało, ale — pieczone gołąbki nie idą same do gąbki.

Wieczorek był rzeczywiście serdeczny, familijny; z obcych nikogo nie było. Chłopcy zaś tak byli przejęci uwielbieniem ku świątobliwemu młodzieniaszkowi i nastrojeni na duchu, że otoczyli jego obraz i długo wpatrywali się w to niewinne i sympatyczne oblicze.

WIEDEŃ. — Wiadomo naszym szlachetnym Pomocnikom i Dobrodziejom, że Salezjanie już od trzech lat pracują w stolicy Austrji. Polem ich działania podczas tego okresu było wychowanie owej ubogiej młodzieży, którą opiekuńczy Komitet miejscowy gromadził i utrzymywał. Lecz aby ich praca z całą swobodą mogła się rozwijać i aby można zastosować w całej swej rozciągłości system ks. Bosko, było wielce pożądanem a nawet koniecznem, żeby mieć dom własny i odpowiedni, do



Pani Juljanna Petjo, fundatorka zakładu salezjańskiego w Wiedniu.

któregoby przyjmować można młodzież i wychowywać ją zgodnie z ustawami istniejącemi w Zakładach Ks. Ks. Salezjanów. Najświętsza Marja Panna Wspomożenie Wiernych, która zawsze w poważnych chwilach okazywała się czułą Matką synów Ks. Bosko, również i tu nie długo na swą pomoc kazała czekać, bo właśnie w maju r. z., kiedy Salezjanie szczególnie wzywali Ją o radę, złożyła dowód nadzwyczajny tego, jak możną jest Jej przyczyna u Boga. Za pośrednictwem znanego z swej wielkiej gorliwości o dobro i zbawienie dusz a zwłaszcza młodzieży, Czcigodnego Ks. Kanonika katedralnego Monsig. Antoniego Schöpfleuthnera, otrzymali Salezjanie dom i mały kawałek przyległego ogrodu od W. Pani Juljanny Petjo, która w ten sposób wykonała dawno powziętą myśl, oddając swą posiadłość na fundację dobroczynną. Przez to zrządzenie iście opatrznościowe przyszli Salezjanie w posiadanie domu, który znajduje się w Wiedniu III. Dietrichgasse 38. Gdy się zaś zważy ogromnie wysokie ceny gruntu i zabudowań w Wiedniu, to przyznać musimy, że to dobrodziejstwo jest tak wielkie i tak na czasie, iż Salezjanie nie są w stanie wyrazić swej wielkiej wdzięczności inaczej, jak prosząc swoich Dobrodziejów, by i oni swe modlitwy zanosili do Boga, ażeby ten Dawca wszelkiego dobra raczył tej wspaniałomyślnej Dobrodziejce, (której podobiznę tu umieszczamy), tak tu na ziemi jak i w niebie 100 za 1 zapłacić. Szlachetna ta fundatorka nie mogła uczynić więcej ponad to, co uczyniła, gdyż więcej do dyspozycji nie miała. Salezjanie zatem musieli przyjąć na siebie dosyć znaczną sumę długu, jaki ciążył na owej donacji. Owszem byli zmuszeni ów dług powiększyć, a to w celu zakupna kawałka tuż przyległego gruntu, który był koniecznie potrzebny na dziedziniec, gdzieby wychowankowie mogli się bawić, i na wybudowanie kaplicy z kilkoma salami. Dom bowiem oddany Salezjanom, został wystawiony do użytku prywatnego tylko, to też niema tam sal ani ubikacji o większym rozmiarze, które są niezbędne w Zakładzie wychowawczym. Ogłaszamy te wiadomości naszym Czcigodnym Pomocnikom w tem przekonaniu, że wielką radość im to sprawi, gdy ze spokojnem sercem spoglądać mogą na owoce, jakie z pomocą łaski Bożej z jednej strony i z pilną pracą synów Ks. Bosko z drugiej, ich ofiary wydają. Zakład w Wiedniu, jakkolwiek niemało będzie miał do walki z długami zaciągniętymi, to jednak ze względu dla samej pozycji, jak każdy widzi, jest on przeznaczony nietylko do niesienia wielkiej pomocy młodzieży wiedeńskiej, lecz także do przyczynienia się do silnego rozwoju innych domów tejże Prowincji.

N. B. — Dom oddany Salezjanom znajduje się na Dietrichgasse 38, Wien III; ale ponieważ z dokupionym gruntem, o którym wyżej wspomniano, zostało umożliwionem wybudowanie nowych sal, przeto i główne wejście do Zakładu będzie od Hagenmüllergasse.

DASZAWA — *7. marca.* — Dziwnie zrobiło się na sercu naszym słuchaczom filozofji I i II kursu, gdy dzisiaj w święto ich patrona św. Tomasza, zamiast na uroczystą sumę z panegirykiem Anielskiego Doktora, dzwonek zakładowy zaprosił ich na powszednią lekcję filozofji. Taki pomysł, żeby św. Tomasza uczcić pilnem zaglądaniem do tekstu filozofji, mógł się wydać zgodnym z duchem św. Doktora, ale niekoniecznie zgodnym z duchem czasu... Lecz wnet umysły wróciły do filozoficznej pogody, gdy o godzinie 11ej dzwonek oznajmił *finis*, a zakrystjan począł na gwałt zwoływać ceremoniarzy, turyferarzy i akolitów na sumę z assystą. Odprawił ją sam ks. Dyrektor zakładu śród dziwnie rzewnego nastroju uczestników, bo obecnymi byli w obszernej kaplicy sami tylko klerycy, co bardzo żywo każdemu przypominało patronat św. Tomasza nad uczącą się młodzieżą. Po komplecie (zamiast nieszporów) urządzono wieczorek muzyczno-deklamacyjny, na którym byli obecni pomiędzy innymi Przew. Ks. Prałat Trzopiński i Przew. Ks. Kanonik Borawski, obaj z Kochawiny. Po hymnie *Quasi arcus refulget Thomas* i kilku odczytach i deklamacjach, nastąpiła dysputa filozoficzna na temat: *De essentia et esse*, która przez prawie pół godziny dała kosztować rozkoszy bujania w nadziemskiej sferze jestestw, istot, bytów, istnień... Obecnych na wieczorku starszych kapłanów zdziwił i ucieszył wielce ten nieznany za ich czasów zapał dla św. Tomasza, co w gorących słowach zaznaczył Przew. ks. kanonik Borawski.

Uroczystość św. Józefa odbyła się ku wielkiemu zadowoleniu całego Zakładu z tą serdecznością i zapałem, jakimi tylko szczere przywiązanie i głęboka cześć dla tego św. Opiekuna Zbawiciela naszego natchnąć mogły. Ponieważ pewna część naszych nowicjuszów przygotowuje się na Braci-koadjutorów, stąd św. Józefa uważamy za ich szczególnego Patrona, i głównie ze względu na nich został św. Józef uczczony solennem nabożeństwem w kościółku i muzykalno-deklamacyjnym wieczorkiem na sali. Jeden ze starszych księży Salezjanów wypowiedział piękne kazanie o św. Patryarsze, łącząc w przedziwny sposób potoczną treściwość i praktyczne nauki z głębokością prawd moralnych i dogmatycznych, czerpanych z Pisma św.

Młody nasz muzyk, nauczyciel muzyki i śpiewu, wybrał co miał najlepszego wśród przygotowanych materjałów w swojej orkiestrze smyczkowej i śpiewackim chórze, by podnieść śpiewem i muzyką z rana nabożeństwo, a wieczorem rozweselić zgromadzonych na wieczorku. Trzeci zaś i ostatni z czcicieli naszego Patrona przyłożył się wszelkiemi siłami do tego, by część literacko-deklamacyjna wieczorku była jak najwięcej urozmaiconą, a razem z tem pobożnie i poważnie traktowaną. To też trudy jego pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem, bo młodzież i zbudowaną została, i należycie naśmiała się i ubawiła. Przyjemnie było spojrzeć na twarze kleryków i braciszków taką poczciwą wesołością rozjaśnione, jaką tylko zbożna zabawa, z nauką połączona, może natchnąć. Wieczorek został zamknięty przez jednego z Przełożonych serdeczną zachętą do nieustannej czci, miłości i ufności względem św. Józe a,który już bardzo wiele dla świata chrześcijańskiego uczynił, a więcej jeszcze, jest na dzieja, uczyni.

Tak to nam zeszedł ten miły dzionek 19. marca i w podobny sposób płynie nasze życie w polskim nowicjacie salezjańskim.

LUBLANA. — Z okazji I. kongresu austrjackiego dla ochrony dzieci, wydał w Krainie sekretarz sądowy, P. Franciszek Milčinski broszurę, w której omawia fachowo zdziczenie i zaniedbanie młodzieży i podaje środki zaradcze. Z zapatrywań P. Fr. Milčinskiego wyjmujemy tylko to, co się tyczy naszego Zakładu w Lublanie, stolicy Krajiny.

„Sprawa zajęcia się młodzieżą puka tak gwałtownie do drzwi, iż cały kraj nie będzie mógł odmówić swej pomocy w rozwiązaniu tej kwestji, o ile to wchodzi w zakres jego działania. Tem więcej można się tego spodziewać, że w ostatnim czasie okazał on to szczere zainteresowanie się młodzieżą znaną nam fundacją sześciu miejsc po 200 Kor. w Zakładzie Ks. Salezjanów w Lublanie. Stało się to jednak dopiero po dokładnem zbadaniu zasad pedagogicznych przyjętych w tymże Zakładzie. Podczas gdy Zakład z robotami przymusowemi i w równiej mierze jego oddział poprawczy są bardziej znienawidzone przez naszych interesantów, aniżeli sam areszt i więzienie, to jednak Zakład Salezjański jest u nich w bardzo dobrej opinji. Dziwnem jest, że często same dzieci proszą sąd o oddanie ich do tegoż Zakładu. Z powodu zaś tej zawsze przykrej sprawy ponoszenia kosztów na wychowanie, w przeszłym roku zaledwo trzech chłopców można było tam oddać: owych dwóch braci B., dla których po trzynastomiesięcznem gorączkowem staraniu udało się nareszcie wynaleźć środki na ich utrzymanie w Zakładzie, i ów dwunastoletni maltretowany i przez to zdziczały K., którego w sądzie złożony mająteczek na ten cel służy.

Zakład Salezjański przyjmuje chłopców od 8 do 14 roku. Na utrzymanie płaci się miesięcznie 24 Kor., nie wliczając w to wydatków na ubranie i obuwie i każdy wychowanek, gdy zostanie przyjęty, musi się zaopatrzyć w przepisaną wyprawę. W zeszłym roku szkolnym było w Zakładzie Salezjańskim 50 wychowanków. Z tych 50 tylko trzech zostało tam przyjętych za pośrednictwem sądu opiekuńczego, w innych zaś wypadkach jego interwencji wcale nie było trzeba, gdyż w większej części było coś majątku, a opiekun sądowy zazwyczaj musi tam pośredniczyć, gdzie brak środków pieniężnych.

Całkiem bezpłatnego przyjęcia, jakie zostało udzielone niektórym pupilom poleconym przez Dobrodziejów Zakładu, sąd opiekuńczy dla żadnego ze swoich chłopców nie mógł uzyskać, ponieważ Dyrekcja Zakładu wychodzi z tej zasady, że sąd opiekuńczy już z prawa ma nad tą opuszczoną i zdziczałą młodzieżą nietylko powierzoną opiekę, lecz także i środki na jej utrzymanie.

Ta nędzota nie zostanie usuniętą nawet przez te sześć wyżej wymienionych fundacji po 200 Kor., bo na pokrycie kosztów 24 Kor. miesięcznie według programu Zakładu Salezjańskiego powyższa kwota fundacyjna nie wystarcza, a wyszukanie sumy brakującej jest połączone z największemi trudnościami. Tak n. p. w wypadku dwunastoletniego Ś. niebezpiecznego włóczęgi i złodzieja, nie było można nic uzyskać nawet od samej stolicy t. j. miasta Lublany, jego gminy przynależności, pomimo półrocznych próśb, przedstawień i zażaleń. Owszem w ostatnim czasie Wydział Krajowy zawiesił rozdanie tych fundacji aż do dalszego rozporządzenia, dla braku interesantów.

Zakład Salezjański wykazuje już bardzo piękne owoce swej pracy wychowawczej; w każdym jednak razie tacy wychowankowie, których prowadzenie pod każdym względem nie byłoby moralne, bywają z niego wydaleni. Skoro tylko miejsce i okoliczności materjalne na to pozwolą i Zakład przez krajowe Instytucje będzie subwencjonowany, to wychowankowie zostaną oddani do odpowiednich rzemiosł; w ten sposób po latach szkolnych zostanie jeszcze zagwarantowaną dalsza poprawa indywiduom moralnie słabszym.

Jak już w innych Krajach Austrji sobie zaradzono, tak Krajina z jednej strony a z drugiej stołeczne miasto Lublana, które statystycznie największą liczbę tej zdziczałej i zaniedbanej młodzieży wykazuje, powinneby, aż do załatwienia sprawy przez rząd, zawrzeć ugodę z Zakładem Salezjańskim. Takie niedogodne położenie bowiem powinno się skończyć; a z powodu połączonych tu większych wydatków wymaganych przez Zakład Salezjański, nie będzie trzeba podwyższać funduszu, a choćby nawet to musiano uczynić, to takie podwyższenie nigdzie z pewnością nie spotka się z opozycją.“

MISJE SALEZJAŃSKIE

Głos naszych emigrantów niejednego już kapłana patrjotę oderwał od najdroższych związków i pchnął do życia pełnego poświęcenia i niezmordowanej pracy. Nie było polskich misji i Bóg zapędził polskie owieczki w dalekie puszcze amerykańskie. Idą teraz za niemi — bo iść muszą prawie pod grzechem — pasterze i mimowolnie, mimochodem pracują nad rozkrzewieniem wiary śród dzikich Indjan. Kierując się zasadą roztropności, iż pilniej myśleć o własnej trzodzie, zapomnieliśmy, iż kto

. . . . . wszystkim daje siebie,
Nic nie traci na swej sile;

i nie spostrzegliśmy, iż ograniczając troskę na własną tylko ojczyznę, wierni konsekwentnie ograniczają ją na swoją parafię, na swój dom, na swoje ja. *Quam parva sapientia mundus regitur!*

Jak małą mądrością świat się rządzi!

Wskażmy ludowi niezmierzone niwy Chrystusowe, pogrążone aż dotąd w cieniach śmierci, a może lud ukocha lepiej ten skrawek ziemi od tysiąca lat ogrzewany ożywczymi promieniami wiary św. Rozprzestrzeńmy serce jego troską o tylu setkach miljonów nędzarzy, wyglądających światła wiary, a lud ten, w gruncie serca troskliwy o chwałę Bożą, może się zawstydzi różnych małostek domowych, sąsiedzkich, pobratymczych.....

EKWATOR.

Sprawozdanie Przełożonego Misji Mendez i Gwalakwizy, przedłożone Prezydentowi Rzeczypospolitej (1).

Kraje Wschodnie.

Wikarjat Apostolski w Mendez i Gwalakwizie.

1. lipca 1906.

Panie!

Znając pragnienie postępu, jakiem jest przejęty Prezydent Państwa, mam zaszczyt zwrócić się do Niego z krótkiem sprawozdaniem o misjach, jakie w Mendez i Gwalakwizie powierzono Pobożnemu Stowarzyszeniu salezjańskiemu, które zajmuje się już niemi prawie od lat 12.

Z przyczyn, obcokrajowcowi nieznanych, bywają nieraz w Państwie zaniedbywane interesa wielkiej wagi. Coś podobnego, zdaje mi się, możnaby powiedzieć o kolonizacji i o misjach wschodnich w południowej części Rzeczypospolitej.

W tych kresach znajdują się najbogatsze i najzdrowsze ziemie Wschodu. W bliziuchnem sąsiedztwie zaludnionych obszarów, oddalona o dzień lub co najwięcej kilka dni od najludniejszych parafii, zaczyna się puszcza, która nęci do handlu wywozowego i otwiera żyzne łono setkom tysięcy kolonistów.

Popiera się kolonizację obcokrajowców, obiecują się korzyści tym, co ją ustalają a nie pomyśli się o tem, iż żywiołami miejscowymi dałoby się bardzo prędko zaludnić część tych niezmierzonych terytorjów, których plony rolnicze byłyby jedne z najbogatszych w Rzpltej. Prawie u progu obfitości mieszkańcy płaskowzgórza andejskiego umierają z głodu na ziemiach, którym Niebo nie spuszcza wody.

(1) Wyjęte z dzienników ekwatorskich; daje ono zupełny pogląd na stan misji salezjańskiej w Gwalakwizie.

Małym trudem i nieznacznym kosztem możnaby w kilku latach wielką część tej nieszczęśliwej ludności przenieść do okolicy, w której niebawem nędzę zamieniliby na bogactwo.

Sprawa kolonizacji Wschodu.

Dla dobra samegoż Państwa, któreby nie potrzebowało nadal utrzymywać całych mas ludu umierających z głodu, jest niezbędnem otwierać drogi, zakładać osady wojskowe, rozszerzać misje i popierać kolonizację Wschodu. W Azuay nie byłoby to trudnem wobec ułatwień komunikacyjnych zaludnionych centrów w Gwalakwizie, Gwalakko i Pante z cudnymi krajami Bomboizy i Zamorry, Indanzy i Yunganzy, Kupianzy i Mendez, oraz rozległego okręgu Santiago, którego łatwa komunikacja z Moroną zrobiłaby z tej okolicy punkt środkowy handlu ku okręgowi amarońskiemu.

Te cudne okolice, w których jeszcze nie znają febry chronicznej, gdzie z niesłychaną bujnością rośnie kakao, guma, wanilja i najbogatsze produkta podzwrotnikowe, i gdzie takie (doliny) płaszczyzny jak Mendez i Gwalakwiza wyżywiłyby tysiące szczęśliwych mieszkańców, te ziemie są zdaniem mojem punktem wejścia do rozwiązania kwestji bytu w tej wielkiej części Rzpltej.

Nie jest mi nieznaną ważność okolicy Pastaza i Kuraraj, oraz przyszłość okręgu Nappo. Atoli opierając się na znajomości rozległych krain wschodnich, mogę, bez obawy przeciwnego sądu, zaznaczyć, iż cały Wschód od od Loja do Makas stanowi prawdziwy porwenir (dochód) i da kiedyś klucz do jego przyszłego rozwoju.

Zdaje się, iż ludność mieszkająca dalej na południowych kresach odwróciła uwagę rządu od ważniejszych kresów; może też dlatego nie przychodzi mu na myśl dać choćby szczupłą zapomogę okręgom Loja i Azuaj. Ale interes narodowy wymaga, aby władza publiczna roztaczała swą dobroczynność wedle potrzeby, oraz żeby przenosiła lepsze



Typ Jiwarosa z Gwalakwizy.

nad pośledniejsze, zwłaszcza kiedy nie staje sił, aby podołać wszystkim wymaganiom postępu w danym jakimś kierunku.

Że południowo - wschodnie kresy, mające

między sobą bardzo dogodną komunikację, zaopatrzone w żeglugę na Santiago i Morona, są najlepsze i najbardziej nadające się do kolonizacji, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Dość przypomnieć bogactwa ziemi w płodach i kruszczach, nie wielką odległość od Sierry międzyandejskiej, by, nie biorąc w rachubę zdrowotności klimatu, przekonać się, iż od Makas aż do Zamory i Chinchipe znajduje się istotne bogactwo Ekwatoru. Misje wśród Iwarosów, rozpoczęte w dalekiej przeszłości przez Jezuitów, nie rozwinęły się z powodu zaciekłości szczepów zaludniających wybrzeża Santiago i Zamory. Zdobycze hiszpańskie i późniejsze okupacje Peruwianów, chybiły wobec groźnych Iwarosów. Miasta najbogatsze jak Waladolid Logronio, Sewilia del Oro, Huamboja, zniszczone przez dzicz, świadczą o trudności opanowania tych kresów.

W tak rozległej krainie, krom małej wioski przydzielonej do misji salezjańskiej w Ekwatorze, niema żadnej innej z wyjątkiem nędznej na peruwiańskich stokach położonej aldei Santiago.

O Misji w Gwalakwizie.

Gwalakwiza w czasach przedrepublikańskich miała za misjonarza Ojca P. Prieto, a z nastaniem republiki Wiel. O. B. Plaza, brata Najprz. ks. biskupa z Cuenca, Fr. Emanuela Plaza. Następnie za rządów Garcia Moreno na czele misji stanął czcig. O. L. Pozzi, Jezuita z Włoch, który po niewielu latach porzucił Gwalakwizę wraz z załogą, którą tam rząd utrzymywał.

Tak zostawały rzeczy aż do chwili, kiedy kongres w roku 1888. oddał Salezjanom okręgi Mendez i Gwalakwizę, z których miano utworzyć wikarjat apostolski.

Wikarjat Mendez i Gwalakwiza został nam powierzony przez Ojca św. Leona XIII na wniosek rządu ekwatorskiego dnia 8. lutego 1893 r., a objęliśmy go definitywnie 1. marca 1893 r.

Ponieważ Gwalakwiza jest obecnie punktem środkowym misji, wypada zaznaczyć kilka drobniejszych szczegółów o tej ważnej placówce.

Położenie astronomiczne:

długość wschodnia 1. 8'
szerokość połud. 30, 50'
Wysokość nad morzem 730 m.
Temperatura średnia 22 ½.
Ciśnienie barometryczne 77.

Granice wikarjatu: na północ i wschód: Makas i rzeka Apatonoma wpadająca do Morony, która z kolei wpada do Maranon; — na południe: Zamora, dopływ Santiago i górnego Maranonu, oraz granice rzpltej Peru; na wschód: ziemie Loja i Cuenca.

Statystyka ludności.

Liczby dzikich w wikarjacie nie można było dotychczas obliczyć ani nawet w przybliżeniu. Nikt nie zdołał wedrzeć się do środowisk, gdzie bezwątpienia mieszka największa część ludności tych gęstych kniei. Atoli z zasięgniętych informacji podczas moich długich i nieustannych podróży, a na podstawie wiadomości udzielonych mi przez Indjan na wpół cywilizowanych, co przestawają z misjonarzami, można zestawić następujące cyfry:

W Gwalakwizie i na wybrzeżach rzeki Cuchibamba i Bomboisa 300 mieszkańców.

W Indanza i na wybrzeżu rzeki Kalaglasu 80.

Na wybrzeżach Zamory i Chuchumbleza włącznie ze szczepami Pachicosa, Zaraguro etc. 70.

W Juganza 60.

W Chupianza 650.

W różnych mniejszych środowiskach 1500.

W Mendez chico e grand na wybrzeżach Santiago (mów: Czupianca) 6500.

Razem: 9750.

Zaznaczyć należy, iż nieustanna rzeź między poszczególnymi szczepami oraz ich życie koczownicze zmienia co chwilę ich statystykę.

Liczba białych chrześcijan metyszów i Indjan przybyłych z Gwalakwizy aż do wczoraj, nie przechodzi liczby 500. Ale w tych miesiącach wskutek ogólnej drożyzny, jaka spadła na prowincję Azuay, wiele ludu przeniosło się tutaj do kresów wschodnich.

Dzieła dokonane przez misjonarzy.

W początkach ewangelizacji tego niezmiernego wikarjatu, misjonarze mieli do znoszenia różne cierpienia z powodu braku ubikacji, środków pieniężnych, oraz utrzymania. Atoli powoli nieu-

stanną pracą, przy pomocy rządowej i osób dobroczynnych, zdołaliśmy sobie wyrobić normalną sytuację. Zaczęto już katechizować i nauczać dzikich, przyzwyczajając ich do pracy i do życia cywilizowanego, aż tu naraz pożar obraca w perzynę dom i co się w nim znajdowało, zostawiając nas po raz drugi śród puszczy bez dachu, bez odzieży, bez żywności, z wyjątkiem tej lichoty, jaką nam ofiarowała litość Indjan; a co gorsza, wtenczas właśnie odjęto nam wszelką zapomogę ze strony rządu.

Jednakowoż nie brakło nam otuchy do dalszej pracy w kierunku chrześcijańsko-cywilizacyjnym, a pokonawszy tysiączne przeszkody, można było w części przynajmniej powetować poniesione straty. I tak w pomyślności czy w nieszczęściu, wytrzymaliśmy aż do tej chwili w zadaniu przechodzącem prawie granice możliwości, dla braku protekcji i pomocy w tem tak trudnem dziele.

W różnych wycieczkach podjętych do tych wysokich gór, w podróżach więcej niż miesiąc trwających, pieszo, obarczony niezbędnymi zapasami żywności, przedzierając się przez niedostępne knieje, śród ulewnych deszczów, przebywając wpław niebezpieczne nurty, mogłem zbadać te ziemie dotąd nieznane i narzucić ich szczepom szacunek dla władzy duchownej. Zbłądziwszy nieraz śród lasów, skazany prawie na śmierć głodową, mignęła mi już nawet przed oczyma dzida Indjanina i uczułem zimno jego noża na mojem gardle. Ale opieka niebios mnie uratowała, a mocy do dalszej pracy dodała mi niezłomna wiara w dobry wynik sprawy cywilizacyjnej, rozpoczętej na wschodzie Ekwatoru przez synów ks. Bosko.

Rozwój od r. 1895 (gdyż zapiski z lat poprzednich zginęły w płomieniach pożaru, który wybuchł w owym roku) zestawia następująca statystyka.

Ochrzczono 1895 Iwarosów i 40 cywilizowanych. Wybierzmowano 925 Iwarosów i 250 cywilizowanych. Połączono małżeństwem 36 Iwarosów i 18 cywilizowanych. Zaopatrzono na śmierć 15 cywilizowanych i 18 Iwarosów. Dzieci wychowano w naszym zakładzie: 4 Iwarosów i białych; metyszów i Indjan chrześcijańskich 110. Liczba wychowanków obecna: 22 cywilizowanych. Co do budowli i prac materjalnych misji, przepisuję w części komunikat podany 8. września 1904 r. ministrowi entuzjaście p. Alojzemu Martinezowi, który w niezaprzeczonym swoim patrjotyźmie nie umiał nań odpowiedzieć.

Zbudowano kościół o trzech nawach, zdolny pomieścić 2000 osób, z wysoką wieżą i trzema dzwonami. Będzie to, ze względu na położenie, jeden z najpiękniejszych kościołów na wschodnich kresach Ekwatoru.

Wzniesiono obszerny dom dwupiętrowy, mieszczący 100 wychowanków. Drugi podobny wzniesiono dla Sióstr Marji Wspomożycielki, mieszczący 50 wychowanic.

Założono szkoły rzemieślnicze dla cieśli, ślusarzy, szewców, krawców, kapeluszników i introligatorów, zaopatrując je w potrzebne siły nauczycielskie, w maszyny, narzędzia i t. d. a wszystko ze szczypłych naszych datków. Utrzymujemy również regularne szkoły dla cywilizowanych i Iwarosów, gdzie udziela się wykształcenia religijno — naukowego i artystycznego: chłopcy odbywają również ćwiczenia gimnastyczne i wojskowe.

Założono małą kapelę, gabinet fotograficzny i aptekę wraz ze wszystkimi przyborami.

Siostry Marji Wspomożycielki utrzymują czynne pracownie dla dziewcząt chrześcijańskich i indyjskich.

Misja posiada także tartak wodny, dostarczający desek i belek wszelkiego rodzaju, który obecnie nie funkcjonuje z przyczyny popsucia kanału, ale niebawem zostanie przyprowadzony do porządku. Mamy osadę agronomiczną, w której praktykują się hodowle i uprawy wszelkiego rodzaju wedle metod racjonalnych. Otrzymujemy wyborną sól z wyparowania wody słonej obfitującej w Gwalakwizie. Taksamo mamy najlepszego gatunku wapno. Nadto dla podniesienia handlu ustanowiono tygodniowy targ, na który przybywają tak Iwarosowie jak biali.

Nakoniec trzeba tu także nadmienić o dwóch niezmiernie ważnych drogach, (służących na razie, ma się rozumieć, tylko dla pieszych i konnych) otworzonych kosztem własnym, z których jedna prowadzi z Gwalakwizy do Chuchumbleza, Pachikoza i t. d. wzdłuż brzegów Zamory, której przedłużenie połączy nas z Loją; druga z Gwalakwizy do Indanza, aby połączyć misję

centralną z nowym, wspaniałym gościńcem, co idzie z Gwalakwizy do Indanza, a skończy się we wspaniałych okolicach Chupianza w pobliżu Mendez.

Obecnie misjonarze zajęci są dokończeniem robót w kolegium gwalakwiskiem celem założenia garbarni skór, małej drukarni i szpitala.

Projektują też wzniesienie kościołów i kaplic misyjnych śród bardziej ludniejszych szczepów Indjan, jako to w Indanza i Chuchumbleza i Pachinosa, aby módz nareszcie poświęcić się kolonizacji i ewangelizacji rozległej, ludnej i bogatej ziemi Mendez.

Trudności natury moralnej i materjalnej.

Niezmierne są trudności, jakie się napotykają w pracy ewangelicznej i cywilizacyjnej nad tymi szczepami ze względów topograficznych; ale o wiele cięższemi są przeszkody moralne, a pierwszą z nich to charakter Iwarosa. Jest on zdradliwy, pyszny, chytry, egoista, oportunista, mściwy, krwiożerczy, skłonny do pieniactwa i używania, wróg wszelkiego prawa sprzeciwiającego się jego absolutnej niezależności. Spodlony najniższemi namiętnościami, nie goni jak tylko za chwilową rozkoszą; za pół łokcia płótna staje się chrześcijaninem; po pięć i dziesięćkroć zażąda chrztu św., gotów przyjąć go drugie razy tyle, a potem z najzimniejszą krwią wypiera się religji przyjętej z udanym entuzjazmem; zabija wroga, porzuca żonę i zaleca się innej: i jak z udaną pobożnością, klęcząc u stóp misjonarza z rękami złożonemi a z oczyma wzniesionemi ku niebu, będzie się modlił i śpiewał pieśni Zbawicielowi świata, jeżeli widzi obiecane cztery szpilki, tak, otrzymawszy je, z urągającym uśmiechem, z zimnym cynizmem, z miną zuchowatą i gniewną wróci do wybryków zemsty i okrucieństw.

Aby walczyć z takim wrogiem, niema innego środka, jak poskramiać go, biorąc go pod pręgierz władzy, a tymczasem wychowaniem młodzieży wyrabiać młode pokolenie bardziej cywilizowane. Ale jednocześnie należałoby wziąć zdrowego żywiołu z okolicznych plemion i zaszczepić go tutaj, aby niedołężnemu barbarzyństwu odjąć najbogatsze kraju okolice.

W ten sposób, drogą kolonizacyjną, łatwiej okiełznają się dzicy, zapanuje postęp i chrystjanizm, a Ekwator własnymi żywiołami zdoła zaludnić liczne, rozległe osady, które staną się dobrodziejstwem Rzpltej; rozwiązaną też zostanie szczęśliwie trudna i groźna kwestja głodowa w środkowem płaskowzgórzu andejskiem.

Ruchliwość i entuzjazm misjonarzy salezjańskich wzniecił — jak wiadomo — silniejszy ruch handlowy między ważnym i nadzwyczaj ruchliwym ludem w Zigzig a Gwalakwizą, jak również im jest do zawdzięczenia otwarcie drogi między ludnem Gualakko a okręgami Indanza, Junganza i t. d.

Okręgi Gwalakwiza i Mendez, jak to zaznaczyłem, zasługują zdaniem mojem i tych co zwiedzili wschód, na uwagę i pierwszeństwo nad innymi okręgami jużto dla zdrowego klimatu, urodzajności i położenia nad Oceanem Spokojnym, jużto dla łatwości zakładania dróg żelaznych lub belkowanych.

Wysyłając prośby o jałmużnę i kwestując po wioskach i miasteczkach, mianowicie w prowincji Azuaj, oraz wsparci posiłkami w ludziach i rzeczach, jakie nam z Włoch przysłał Najprz. ks. Michał Rua, Generał Pobożnego Zgromadzenia Salezjańskiego; jak niemniej zasilani środkami, jakich nam dostarczał Najprzew. ks. biskup Jakób Costamagna, którego jestem lichym reprezentantem, zdołaliśmy aż po dziś dzień pokryć niezmierne i coraz bardziej wzrastające wydatki.

Teraz jednakowoż, wobec drożyzny i niedostatku, jaki zapanował śród ludności Sierry ekwatorskiej, jest niemożliwem wbrew wszelkim dobrym chęciom, entuzjazmowi i odwadze misjonarzy, prowadzić dalej dzieło ewangelizacyjne, jeżeli najwyższy rząd świętą i patrjotyczną uchwałą nie pospieszy z jakąkolwiek pomocą tej chwalebnej, dobroczynnej i wielkiej sprawie; albowiem już w ubiegłych miesiącach musieliśmy za bardzo nizką cenę pozbyć się naszej farmy *El Rosario* dla spłacenia długów zaciągniętych na rzecz misji, a dla pokrycia wydatków bieżących, aby jakoś wyżyć i utrzymać się w tych czasach niedostatku.

Żądania misjonarzy.

Z tego powodu pozwalam sobie żądać od Naczelnika kraju niezbędnej zapomogi dla pod-

niesienia misji i kolonji w Mendez, Gwalakwizie, Zamora i Santiago.

Kończąc zatem, przedkładam uniżenie Panu Naczelnikowi niniejsze postulaty, które wymagają wypełnienia bez wielkich ofiar.

1.° Skojarzenie szczepów Zamory z gminą (zarządem) i misją w Mendez i Gwalakwizie na wypadek, gdyby Wiel. Ojcowie zaprzestali iż wejście do lasów wschodnich jest o wiele bliższem przez Indanza, ośm godzin od Gwalakwizy.

5.° Budowę (niezbyt trudną) drogi z Palmar do Mendez.

6.° Utrzymanie jednej kompanji wojska, któraby broniła kolonji od napaści szczepów jeszcze nieokiełznanych i zajęła się wytykaniem



Nowy kościół salezjański i probostwo w San Francisko w Kalifornji, odbudowane całkowicie po ostatniem trzęsieniu ziemi i pożarze.

ich ewangelizacji, gdyż łatwość komunikacji zaspokaja zupełnie potrzeby szczepów indjańskich Pachicosa itd. a jednocześnie i tych drugich co dopiero wspomnianych.

2.° Organizacja zarządu i władz w Gwalakwizie z jurysdykcją na Mendez i Zamorę.

3.° Naprawa drogi z Zigzig do Gwalakwizy, co wyniesie najmniej koło 20.000 pesos.

4.° Ukończenie drogi z Gwalakwizy do Indanza, a stąd dalszą konstrukcję do Junganza, Chupianza i Mendez; sprawa posiadająca własny fundusz. Za budową tej drogi przemawia to, iż będąc centralną, pozwoli mieszkańcom Azuaj komunikować z Mendez i Santiago, pamiętając, dróg i założeniem osady typowej. Jak na teraz możnaby w tym celu zaopatrzyć w broń ludność okoliczną Gwalakwizy.

7.° Zapomogę pieniężną misjom salezjańskim Niema potrzeby rozprawiać, że bez misji nie można popierać kolonizacji; wszakże misjonarz jest jedynym, co może wpłynąć na dzikich i poskramiać ich niesforność, oraz wychować nowe pokolenie i pokierować je do życia cywilizacyjnego, pozyskując barbarzyńców przy pomocy prawdziwego postępu.

8.° Zawieszenie ustaw cłowych dla artykułów niezbędnych do rozwoju misji i kolonji.

9.° Dostarczyć misjonarzom materjału do za-

łożenia linji telegraficznej z Gwalakwizy do Zigzig (dwa dni drogi co najwięcej), albo jeżeli tak się lepiej będzie podobało, dać rozkaz władzom miejscowym, aby sobie zadanie to wzięły do serca i przywiodły do końca.

10.° Dać rozkaz władzom prowincjonalnym i kantonalnym blizko wikarjatu, aby pomagały misjonarzom w czemkolwiek tylko okazuje się potrzeba.

11.° Zezwolić na wolny wstęp misjonarzom i Siostrom Najśw. Marji Wspomożycielki, gdyż zachodzi potrzeba, jeśli nie konieczność, nowych sił, aby podołać piętrzącym się nowym pracom i dojść do prawdziwej chrześcijańskiej cywilizacji Iwarosów wschodnich.

Jak wielkiej sumy będzie potrzeba do tak olbrzymich planów? Setką tysięcy skudów dałoby się może postawić wszystko na nogi, gdyby — ma się rozumieć — pieniądze dostały się do rąk ludzi postępowych, patrjotycznych, bezinteresownych.

Ale nie mogę zakończyć niniejszego listu bez ponownej usilnej prośby, aby Najdostojniejszy Pan Naczelnik Rzpltej zechciał przyjąć moją petycję, mając na uwadze jej aktualność dla wzrostu i pomyślności narodu ekwatorskiego, do którego cywilizacji i postępu niemało przyczynią się swoją pracą, wpływem i poświęceniem Salezjanie ks. Bosko.

Pan Generał Eloy Alfaro raczy przyjąć zapewnienie należytego szacunku wraz z życzeniami wszelkiej pomyślności dla Niego i dla Ojczyzny.

Najuniżeńszy sługa
Ks. Franciszek Matana
Przełożony Misji w Gwalakwizie.



WAŻNE.

Zwracamy uwagę tym polskim młodzieńcom, którzy mają zamiar przyjechać do Zakładu salezjańskiego w Ivrei (prow. turyńska) we Włoszech, że w najbliższym czasie wspomniany Zakład zostanie przeniesiony do Daszawy (p. Gelsendorf) w Galicji. Wszelkie zatem prośby o przyjęcie należy odtąd przesyłać na ręce tamtejszego ks. Dyrektora naszego Zakładu, a nie do Ivrei.

Oświaty nam trzeba.

(Rozmowa na plebanii na wsi).

. . . .

Chłop. — ..... Inna troska pali!
Te — książeczki nowe, modne
Mają głoski takie drobne,
Że wypatrzeć oczu cztery,
A nie ujrzysz w nich litery.
Ksiądz. — Tać ta znowu... *Chłop.* — Nie inaczej!
Chciałbym taką książkę raczej,
Gdzieby głoski większe były.
— Toż zobaczcież-no mój miły,
Czy ot tutaj głoski duże.
— Ani słowa! Papier wielki
A litery — jak butelki...
— Cóż ja widzę? nasz mądrala,
Co na głoski winę zwala,
Zna się lepiej na butelkach,
Niż na drukowanych celkach.
Cóż robicie z literami?
Wszakżeście je przewrócili
Na wspak do góry nogami.
— Skąd ma wiedzieć człek ubogi,
Że litery mają nogi?
— Dajno spokój biednej karcie,
A powiadaj tu otwarcie,
Czyś wogóle kiedy trzymał
Jaką książkę przed oczyma?
— Tak jest, trzymać to trzymałem,
Ale czytać, nie czytałem.
— A cóż robisz, gdy w niedzielę
Plakat widzisz na kościele?
— Co? Wołam sobie chłopaka,
Każę czytać, dam szóstaka...
— Otóż macie chłopski rozum,
Macie polską gospodarkę!
Za czytanie da szóstaka,
Za pisanie żyta miarkę.
Potem wzdycha: „Ciężko, Boże,
Żyć na polskim tu ugorze!“
Sprzeda chatkę, kupi bilet
I wędruje gdzieś za morze.....

. . . .

Mój człowiecze! bój się Boga,
Nie przestępuj domu proga,
Nie umiejąc sylabarza,
Jeśli ci ta ziemia droga,
Która obcym cuda stwarza,
A dla ziomków, dla ciemnoty
Zda się, cierpi na suchoty...

. . . .



NABOŻEŃSTWO do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

V. — Nabożeństwo do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych w Monachium i Turynie. — Kościół Salezjański Maria SS. Ausiliatrice (Matki Boskiej Wspomożenia) w Turynie.

Podczas gdy w r. 1683 wojska chrześcijańskie pod wodzą **Sobieskiego** potykały się z Turkami pod *Wiedniem*, pewien Kapucyn, który w tym czasie z wielką żarliwością prawił kazania w kościele św. Piotra w *Monachium* w Bawaryi, kończył je zazwyczaj, zachęcając gorącemi słowami wiernych, by się oddali w szczególną opiekę P. Maryi Wspomożycielce. Po odniesionem zwycięstwie nabożeństwo do Matki Boskiej pod temże wezwaniem tak się rozpowszechniło, że niebawem przyszło w *Monachium* do zawiązania *bractwa* pod wezwaniem Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych. Elektor bawarski, **Maxymilian Emanuel**, który w walnej bitwie pod Wiedniem dowodził był wojskiem bawarskiem, udał się do Ojca św. **Inocentego XI**. z prośbą o zatwierdzenie i uposażenie świętymi odpustami tego nowo powstałego bractwa. Ojciec św. chętnie się do tej prośby przychylił i udzielił tak zatwierdzenia, jak również odpowiednich odpustów bulą, wydaną dnia 18 sierpnia 1684 r.

Z *Monachium* i *Bawaryi* bractwo to rozkrzewiło się niebawem także w ościennych państwach i krajach. Pomiędzy wszystkiemi jednakże miastami, które szczególnem odznaczały się nabożeństwem do Maryi Wspomożenia Wiernych, trzeba na pierwszem miejscu postawić *Turyn*. Kardynał **Maurycy**, książę sabaudzki, gorliwie nabożeństwo to rozszerzał w stolicy Piemontu już na początku 18-go wieku. Pomiędzy innemi kazał wznieść w kościele św. Franciszka a Paulo kaplicę z ołtarzem i pięknym marmurowym posągiem Maryi Wspomożycielki.

Turyńczycy, przekonawszy się po niezliczone razy, że uciekanie się do Najśw. Panny jako Wspomożycielki Wiernych jest środkiem niechybnym dla otrzymania wszelkich łask od Pana Boga, zaczęli gromadnie zapisywać się do wyż wymienionego arcybractwa monachijskiego, które też w niewiele lat po swem zawiązaniu tysiącami liczyło członków różnego wieku i stanu po całej Europie. Gdy zaś w samymże Turynie liczba członków tego bractwa niepomiernie wzrosła, ustanowiono pod koniec 18-go wieku przy kościele św. Franciszka a Paulo osobne bractwo pod takiemże wezwaniem, zatwierdzone przez Papieża **Piusa VI** reskryptem z dnia 9 lutego 1798 r.

Przez cały ciąg zeszłego stulecia z rozwojem miasta wzrastało i rozwijało się, rzec można, również nabożeństwo do Matki Boskiej Wspomożycielki, aż około roku 1864 powziął **ks. Bosko** zamiar wystawienia świątyni pod temże wezwaniem na *Valdocco*, jednej z najwięcej zaludnionych dzielnic Turynu, siedzibie założonego przez siebie Oratoryum. Dostarczenie środków niezbędnych, za pomocą których miano dzieło do skutku przyprowadzić, poruczył z całą ufnością Tej, którą Kościół św. słusznie nazywa: *Virgo potens* (Panną możną).

Papież **Pius IX** zaś, który nigdy nie zaniechał popierać tego, co tylko wyjść mogło na większą chwałę Bożą, dowiedziawszy się, jak bardzo potrzebnym jest kościół na wymienionem przedmieściu, nadesłał jako pierwszą ofiarę na jego budowę sumę 500 franków, pochwalając jednocześnie wezwanie Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, pod jakiem miał być wystawionym. Wraz z miłościwą ofiarą przesłał zarazem następujące słowa: „Niewielka moja ofiara niech wzbudzi możniejszych i hojniejszych dobrodziejów, którzy oby się przyczynili do rozszerzania czci Najświętszej Dziewicy na ziemi, a tak coraz więcej pomnażali zastęp tych, którzy kiedyś chwalebnem gronem otaczać Ją będą w królestwie niebieskiem."

Pokrzepiony błogosławieństwem Ojca świętego, wziął się X. Bosko natychmiast, mimo braku funduszów, do dzieła; za pieniądze, jakie posiadał wraz z datkiem Piusa IX, zakupił grunt pod budowę tuż obok Oratoryum i kazał zakładać fundamenta. Architekt *Spezzia* zrobił plan kościoła w kształcie łacińskiego krzyża na przestrzeni 1200 metrów kwadratowych.



Podobizna cudownego obrazu Marji Wspomożycielki w Turynie.

Położenie kamienia węgielnego odbyło się uroczyście dnia 27. kwietnia 1865 r. Gdy rozpoczęto roboty, **X. Bosko** posiadał w kasie zaledwie *40 centesimi* = (32 fenigów niem. lub 16 centów austr.). Liczył na rozmaite obietnice jużto Rady miejskiej, jużto osób prywatnych, tych wszake pod różnymi pozorami z razu nie dotrzymano. Kiedy jednakże zabrakło pomocy ludzkiej, wtenczas opieka Królowej niebieskiej objawiła się w sposób uderzający, aby widocznem się stało, że pragnęła nietylko idealnej świątyni w sercach ludzkich, lecz i rzeczywistego budynku, w któryrnby Jej Boski Syn był czczony za Jej pośrednictwem.

Nie wstrzymany żadnemi trudnościami, *X. Bosko* śmiało wydał polecenie wzięcia się do roboty i kazał kopać fundamenta. Po dwóch tygodniach wytężonej pracy należało się robotnikom 1000 franków. Ci poczciwi ludzie nie mogli dłużej czekać na pieniądze i potrzeba było koniecznie spłacić ich za wzystkie dni pracy. W tym kłopocie *X. Bosko* przypomniał sobie pewną chorą, która dla uproszenia uzdrowienia zaczęła była nowennę przed kilkoma dniami i obiecała ofiarę. Była to osoba zamożna, którą *X. Bosko* kilka razy już był odwiedził, spełniając obowiązek swego świętego powołania. Ciężko chora od trzech miesięcy nie wstawała z łóżka: trawiła ją bezustanna gorączka, połączona z kaszlem i zupełnem sił wycieńczeniem. Ostatnim razem, gdy ją X. Bosko odwiedzał, rzekła do niego:

— Dla otrzymania chociaż tylko odrobiny zdrowia, gotowa jestem odmawiać wszelkie modlitwy, jakieby mi naznaczono, i złożyć jakąkolwiek ofiarę. Byłoby to już wielką łaską dla mnie, gdybym mogła wstać z łóżka i przejść się parę kroków po pokoju.

— Czy Pani uczyni, co jej wskażę? zapytał X. Bosko.

— Niezawodnie uczynię.

— A więc zacznij Pani natychmiast nowennę do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych.

— A jakże to?

— Przez 9 dni odmówi Pani codziennie: 3 *Ojcze nasz*, 3 *Zdrowaś*, 3 *Chwała Ojcu* i *Witaj królowo*.

— Dobrze, a jakiż dobry uczynek mam do tego dołączyć?

— Jeżeli Pani zechce, a polepszy jej się, to niech da ofiarę na kościół Maryi Wspomożycielki, który się obecnie buduje na Valdocco.

— Bardzo chętnie, skoro tylko będę mogła wstać z łóżka i przejść się po pokoju.

Ta właśnie obietnica była jedynym funduszem, na który X. Bosko mógł liczyć w owej chwili. Ponieważ to był dzień dziewiąty od zaczęcia nowenny, poszedł zatem do chorej dowiedzieć się o wyniku. Służąca otwierając drzwi i widząc wchodzącego X. Bosko, zawołała:

— Pani już wyzdrowiała! dwa razy już była w kościele podziękować Panu Bogu.

Gdy wszedł do pokoju, zastał panią domu rzeczywiście zdrową.

— Już jestem zdrowa, mój Ojcze, wychodziłam już nawet dziękować Najświętszej Pannie. Przyjm więc moją ofiarę na kościół, który budujesz. Jest ona pierwszą, ale pewno nie będzie ostatnią.

I wręczyła księdzu Bosko mały pakiecik. Gdy tenże powrócił do domu i otworzył zwitek, znalazł w nim 50 marengów (czyli napoleondorów = 1000 franków w złocie), właśnie taką sumę, jakiej tego dnia potrzebował, by módz wypłacić należytość robotnikom. Te tysiąc franków spadły mu, rzec można, z ręki Najświętszej Panny Wspomożycielki. Chociaż X. Bosko unikał wspomnienia o tem zdarzeniu, to jednak rozeszło się ono wkrótce jakby iskrą elektryczną po całem mieście i spowodowało natychmiast wielkie zbiegowisko osób, przybywających do księdza Bosko z prośbą o wstawienie się za niemi do Najśw. Panny, pragnących odprawić nowennę i obiecujących ofiarę na Jej kościół, skoro tylko będą wysłuchane. X. Bosko zanosił modlitwy za niemi z wielkim skutkiem; ci, którzy otrzymywali łaski cudowne, obfite składali zato ofiary, a liczba ich niesłychanie rosła.

Widocznie Najświętsza Panna, wysłuchując modlitwy pobożnego kapłana, chciała tem samem okazać swoje i Syna swojego upodobanie w tem dziele salezyańskiem, skoro raczyła się niem zaopiekować i dostarczać środków pieniężnych, potrzebnych do jego rozwinięcia i utrzymania się, na co żadnego prawie źródła nie było.

Któżby wogóle wyliczył wszystkie łaski cudowne, jakie X. Bosko w ten sposób dla potrzebujących ich u Matki Najświętszej wyjednał, któż te niezliczone uzdrowienia i łaski różnego rodzaju, materyalne i duchowe, które teraz tak obficie zaczęły spływać? Niedługo trwało a cały Turyn, potem cały Piemont, za nim Włochy, Francya, niebawem wszystkie kraje świata katolickiego głosiły chwałę Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki. Nigdzie bowiem napróżno nie wzywano Jej pomocy.

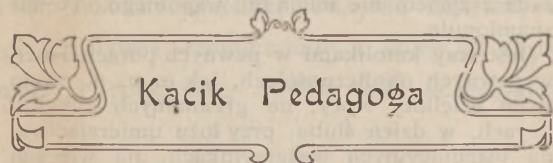
Tymczasem ofiary na budowę kościoła napływały w wielkiej liczbie, wystarczając na razie na wszelkie potrzeby. W chwili jednak, gdy roboty były prowadzone z największym pospiechem, dary zaczęły się zmniejszać. Ale oto zjawiła się cholera; umysły zostały już to zaniepokojone obawą, już to wzruszone uczuciem wdzięczności za ocalenie od zarazy, i znów dary gromadzą się obfitsze niż kiedykolwiek. Byli i tacy, którzy powzięli myśl zjednania sobie pomocy Najświętszej Panny Wspomożycielki i uproszenia za Jej przyczyną błogosławieństwa Bożego bądź w handlu, bądź w gospodarstwie rolnem, ślubując na budowę Jej nowej świątyni dziesięcinę z czystego zysku lub ze zbiorów. Ci nie mieli powodu skarżyć się na ten rodzaj kontraktu, zawartego z przemożną Opiekunką w niebie, gdyż otrzymany rezultat przewyższał wszelkie ich nadzieje.

I czy uwierzy kto temu? Kościół Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych w Turynie został wybudowany bez uciekania się do kwesty. Ofiary napływały zawsze i to w porę. Ogólny wydatek przenosił milion franków; otóż rejestr ściśle prowadzony dowodzi, że z tej ogromnej kwoty 850,000 franków zostało złożonych w ofierze od osób, które otrzymały szczególne łaski i które w ten sposób okazywały swoją wdzięczność. Można przeto powiedzieć, że każdy kamień tego gmachu jest dowodem dobroci i mocy Panny Maryi Wspomożenia.

Długo zaś byłoby wyliczać wszystkie dary dziękczynne, czynione kościołowi z kielichów, cyboriów, monstrancyi, lamp, drogocennych ozdób i t. p.

Nowa świątynia, rozpoczęta w. r. 1865, skończoną została w przeciągu lat trzech, tak że można było ją poświęcić 9. czerwca 1868. Uroczystości, które się odbywały z tej przyczyny, trwały dni ośm i ściągnęły ogromne tłumy ludu. Poświęcenia kościoła dokonał Arcybiskup turyński, X. **Aleksander Riccardi**.

Nie podajemy na tem miejscu szczegółowego opisu tego kościoła, zwrócimy tylko uwagę na to, że choć otwarty dopiero nie tak dawno, ma już ściany pokryte ogromną ilością wotów wszelkiego rodzaju; są one niezbitem świadectwem licznych łask otrzymanych dzięki nabożeństwu do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych.



Jeszcze o wychowaniu woli.


A teraz kwestya ze wszystkich najważniejsza: co czynić, aby złemu zaradzić?

Nadewszystko trzeba zmienić pogląd wychowawczy, pogląd na cel człowieka, na cel życia a to nie w abstrakcyi, lecz praktycznie w czynie, w zastosowaniu do codziennego życia. Nie, używanie nie jest celem człowieka, ani przyjemność nie może być jego prawem, ale spełnienie powinności, jakie Bóg nałożył. Ziemia

nie jest też rajem lecz miejscem pielgrzymowania i pobojowiskiem, życie zaś nie chwilą rozkoszy, ale czasem dorobku i zasługi. Taki jest pogląd chrześcijański z wiary płynący. Gdy materyalista myśli inaczej, jest poniekąd w swojem prawie, a w każdym razie z logiką się nie kłóci; skoro bowiem sądzi, że w tem życiu wszystko się kończy i że poza grobem niema wymiaru sprawiedliwości, logicznie postępuje, skoro się wysila na zdobycie maksymum chwil rozkosznych, a na uniknięcie przykrych; wreszcie gdy sobie życie odbiera, skoro to życie w czem go zawiodło lub przestało mu być rozkoszą. Lecz gdy rodzice chrześcijańscy rządzą się w wychowaniu poglądem materyalisty, zaprawdę niczem nie dają się usprawiedliwić!

Zrozumiejmy się jednak. Nie chodzi wszakże o to, aby dzieci nasze były pozbawione uczciwej rozrywki, której ich młody wiek potrzebuje, ale o to, aby ta rozrywka nie była w rozterce z duchem Chrystyanizmu i sumienia nie obrażała, a o to właśnie nie trudno. Chrystyanizm w swej istocie jest szeroki, bo zadaniem jego trafić wszędzie i przeniknąć wszystkie składniki życia ludzkiego i odpowiedzieć wszystkim człowieka potrzebom. Nie zacieśniajmy go przeto i nie redukujmy go do praktyk pobożnych, nie odosabniajmy go na szczytach, owszem, wprowadźmy go wszędzie, gdzie być powinien: do belletrystyki, poezyi, sztuki, teatru, do życia towarzyskiego i społecznego; a gdy to uczynimy choć w części, dzieci nasze uskarżać się nam nie będą, że na arenie świata i w rodzinach życia chrześcijańskiego prowadzić nie mogą.

Chcąc jednakże w rodzinach pogląd na życie zmienić i uczynić go chrześcijańskim, trzeba koniecznie umotywować go na podstawie zasady, następnie trzeba zasadę w czyn t. j. w obyczaj wprowadzić i całe życie nią ożywić.

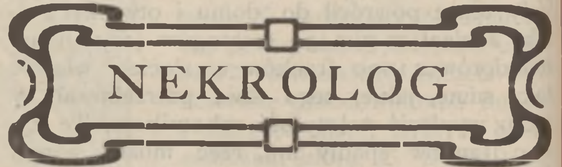
« Ależ nie brak nam zasad », powiedzą niektórzy, owszem mamy ich o wiele więcej, aniżeli inne narody. Tak jest, tylko że pozwolę sobie zauważyć, iż zasada bywa u nas głównie na ustach lub na papierze, ale życia nie przenika i że najczęściej tak się dzieje, że zasada idzie u nas w prawo a życie w lewo, jak gdyby zasada z życiem nie miała nic wspólnego. To nas znamionuje.

Jesteśmy katolikami w pewnych porach roku, w pewnych okolicznościach, jak to n. p. około świąt Wielkiej Nocy, na gremialnych rekollekcyach, w dzień ślubu, przy łożu umierającego, na ostentacyjnych pielgrzymkach, na wiecach sodalicyi i. t. p., ale w różnych szczegółach wychowania, jak to w obyczajach domowych, w interesach, gdy chodzi o uczciwość, o sprawy publiczne, na sejmie, przy głosowaniu, jakże my dziwnie wyglądamy! boć poganin na podstawie prawa naturalnego inaczejby nieraz postąpił!

W tej mierze, oczywiście, reforma jest niezbędna i nagląca, bez czego religia stanie się formą bezduszną, rutyną, szablonem bez życiowej doniosłości, niezdolną powstrzymać powodzi pogańizmu.

Trzeba, aby nasz Chrystyanizm był życiem a nie martwotą, jeśli ma iść w zapasy z tem, co żyje, t. j. z modernizmem pogańskim i aby w walce zwyciężał.

Hr. Cecylia Zyberk-Platerówna.



ZMARLI POMOCNICY.

Andersz X. Wojciech, proboszcz, — Skarboszewo, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*
Beyer Ignacy, — Bytom, *Górny Śląsk.*
Brodowski Antoni, — Kowalik, *Prusy Zachodnie.*
Brylowski Jan, — Ostrycze, *Prusy Zachodnie.*
Bublewicz Rozalja, — Michałówka, *Galicja.*
Chamier-Gliszczyński Mateusz, — Kl. Platenheim, *Pomorze.*
Ciąder Jadwiga, — Rozdrażewo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Czerneda Tomasz, — Będzin, *Królestwo Polskie.*
Drwęski X. Ludwik, proboszcz, — Pawłowice, *W. Ks. Poznańskie.*
Engler X. Hieronim, proboszcz, — Broników, *W. Ks. Poznańskie.*
Fajfer Paweł, — Bobrowniki, *Górny Śląsk.*
Gęborska Franciszka, — Będzin, *Królestwo Polskie.*
Jankowska Marianna, — Złotów, *Prusy Zachodnie.*
Juraszek Józef, — Kujawy, *Górny Śląsk.*
Kluczna Katarzyna, — Chrzumczyce, *Górny Śląsk.*
Kula Mateusz, — Szłapie, *Średni Śląsk.*
Kurek Kasper, — Budy łańcuckie, *Galicja.*
Lachmanowa Marjanna, — Brzeziny, *Galicja.*
Lang Władysław, — Komarówka, *Galicja.*
Łęczyński Paweł, — Sambor, *Galicja.*
Machowicz Hieronim, — Poznań.
Malik Jan, — Rybna, *Galicja.*
Maślaczyński Ludwik, — Będzin, *Królestwo Polskie.*
Myjak Franciszek — Nowosielce, *Galicja.*
Nowakowka Rozalja, — Jankowice, *Galicja.*
Pasławka Anna, — Jarosław, *Galicja.*
Piecz Franciszek, — Kuźnia Raciborska, *Górny Śląsk.*

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków! Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1907.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).